

Dla kogo to puste miejsce przy wigilijnym stole

Z tym pytaniem redakcja zwróciła się do kilku znanych i mniej znanych osób w przeddzień święta najbardziej rodzinnego z wszystkich...
— Dla mnie — mówi KRZYSZTOF PENDERECKI — wolne miejsce przy stole w wigilijny wieczór kojarzy się, jak każda polska tradycja, z oczekiwaniem na człowieka głodnego, wędrowca, żebraka, który w każdej chwili może przyjść i skorzystać z gościnny.

— Co zamierza Pan komponować jutro? — pytam na zakończenie rozmowy.
— Psalm „Nad rzekami babilońskiej wody” do tekstu w języku starocerkiewnym — odpowiada Penderecki.
— Może to nie jest najlepszy moment — dodaje — pisać coś tak żalobnego w Wigilię ale to właśnie mam ochotę robić.

JANA JÓZEFA SZCZEPAŃSKIEGO, pisarza:
— Mam masę rozmaitych osób, które chcielibyśmy posadzić z nami przy stole. Zwykle jest nas taka chimara, że się ledwie mieścimy przy Wigilii. Pastęgo tlerza więc nie stawiamy. Ale to wolne miejsce jest zawsze w naszych sercach. Chcemy nim obdzielić i siostrę męża Jadwige, która jest daleko w Afryce, i wielu naszych przyjaciół, o których wiemy, że są samotni. Wystąpili do nich bezpośrednio. Wskazaliśmy im drogę? (DOKONCZENIE NA STR. 2)

DANUTA SZCZEPAŃSKA (w imieniu nieobecnego męża) Bożonarodzeniowa, bo urodziła się właśnie w Wigilię.
— Mamy masę rozmaitych osób, które chcielibyśmy posadzić z nami przy stole. Zwykle jest nas taka chimara, że się ledwie mieścimy przy Wigilii. Pastęgo tlerza więc nie stawiamy. Ale to wolne miejsce jest zawsze w naszych sercach. Chcemy nim obdzielić i siostrę męża Jadwige, która jest daleko w Afryce, i wielu naszych przyjaciół, o których wiemy, że są samotni. Wystąpili do nich bezpośrednio. Wskazaliśmy im drogę? (DOKONCZENIE NA STR. 2)

Wczoraj odbyło się posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR
Szczegóły str. 2

Pokojowe orędzie papieża

RZYM (PAP). Zgodnie z watykańską tradycją papież Jan Paweł II ogłosił 23 bm. doroczne orędzie pokojowe, w związku ze Świątami Nalemi Pokoju, proklamowanym przed 14 laty przez Watykan na 1 stycznia.

Orędzie, zatytułowane w tym roku: „Służąc pokojowi w poszanowaniu wolności” wskazuje, że pokój stanowi rezultat harmonii, polegającej na poszanowaniu prawdy, sprawiedliwości, godności ludzkiej i zasad współżycia międzynarodowego, opartych na szacunku do równości i godności każdego narodu i państwa, nie zaś na „prawie silniejszego”, logice dominacji bloków oraz „imperializmów wojskowych i politycznych”.

Papież wylicza okoliczności i sytuacje, które sprzecznym są z tak pojmowaną ideą umiarkowania pokoju, wypowiadając się m. in. przeciw polityce wywierania nacisku przez wielkie państwa wobec małych, przeciw wykorzystaniu dominacji ekonomicznej dla uzyskania przewagi politycznej czy wojskowej.

Wiele miejsca w obszernym dokumencie zajmuje również problematyka społeczna (DOKONCZENIE NA STR. 2)

A. Gromyko w Sofii

MOSKWA (PAP). Minister spraw zagranicznych ZSRR, Andriej Gromyko udał się we wtorek z Moskwy do Sofii z wizytą przyjaźni na zaproszenie przywódców BPK i rządu bułgarskiego.

Pogrzeb A. Kosygina

MOSKWA (PAP). We wtorek odbył się w Moskwie pogrzeb wybitnego działacza KPZR i państwa radzieckiego, dwukrotnego Bohatera Pracy Socjalistycznej, Aleksieja Kosygina.

W południe kondukt żałobny przybył na Plac Czerwony. Urna z prochami zmarłego ustawiona została przed Mauzoleum Lenina. Na centralnej trybunie zajęli miejsca przywódcy radzieccy z Leonidem Breżniewem na czele.

Wiec żałobny otworzył premier Nikołaj Tichonow, który podkreślił zasługi zmarłego i stwierdził, że cały naród radziecki pogodził się z żałobem.

Po wiecu żałobnym, na którym przemawiali również przedstawiciele ludzi pracy stolicy ZSRR, przywódcy radzieccy ponieśli urnę z prochami zmarłego ku murowi krematorium. Przy salwach armatnich Nikołaj Tichonow wstawił urnę z prochami Aleksieja Kosygina do niszy, która zakryta tablicą pamiątkową.

Po odegraniu marsza żałobnego i hymnu państwowego nastąpił uroczysty przemarsz oddziałów wojskowych, które oddały ostatni hołd zmarłemu.

Trzy grosze Janusza Roszki

Polonez królowej

Choć napisał o pełnej polskiej królowej, która nie była Polką, o starożytnych polskich cechach, które były by polskie, uroszcie o polonizację wspaniałym i podmiotem.

Królowa nazywała się Marta Ludwika, była żoną dwóch Wazów i wszyscy ją znacie z Sienkiewiczowskiej trylogii. Stare polskie cechy to anarchia i niezgoda, a polonizacja — jak słowami mam wyrazić melodię, która napisana została właśnie na koronację tej królowej?

W marcu dnia 1646 roku barony korowód i dostojny przesuwał się w taki chodzący przez amfiladę sal warszawskiego zamku. Król Władysław IV z uwagą przypatrywał się swojej nowej żonie, siatce drobnych zmarszczeń wokół oczu, jej piękność stała w Wersalu uchodziła już w jej dzień. Kiedyś w tych oczach kochało się pół Paruży, ona idąc teraz w tym tajemnym korowodzie myślała być moją o wspaniałym kawalerze Cinq Mars, z którym łączą ją stała przegrana. A może wspomniła rozmowy z kardynałem Richelieu, z wykwintnym hrabią La Rochefoucauld, ustracony, strząsający się inteligentnym dowiecipem Paruży, który się kochał w niej przez tyle lat?

Migoczą plomyki świec w złocistych kandelabrach, pani ma już 35 lat i myśli, jak też jej będzie w tym dziwnym, północnym kraju? Kapela gra poloneza, poeta pan Morsztyn mówi piękne wiersze, ale ona nie rozumie jeszcze po polsku. Melodia poloneza jest wspaniała i właściwie tyle w niej mocy i władzy, że

(DOKONCZENIE NA STR. 12)

PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW ŁĄCZCIE SIĘ!



GAZETA Południowa

DZIENNIK POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ
KRAKÓW ■ NOWY SĄCZ ■ TARNÓW

24, 25, 26, 27, 28 XII 1980 R. ◆ NR 279 (10090) ROK XXXII ◆ CENA 2 ZŁ ◆ WYD. A,

Kilka słów bez patosu Olgierda Jędrzejczyka

A jednak nie uda się uniknąć wzruszenia

— Czy mógłbym napisać kilka słów, mały artykuł wstępny do numeru świątecznego?

— Możesz, tylko uważaj na ten swój patos, który rozsadza twoje materiały...

Uprzymiłem sobie, że bez patosu, małymi słowami, ścisłym tonem mam napisać:

— O Sierpniu na Wybrzeżu i umowie społecznej zawartej między robotnikami i rządem.

— o nadziei, która wstąpiła w ludzkie serca,

— o deklaracji zarówno ludzi partii, jak i bezpartyj-

nych, że już nigdy więcej nie dopuścimy do tragedii klamstwa, wrogości,

— o wielkim ruchu odnowy, jako wzajemnej wymiany myśli z wykorzystaniem absolutnie wszystkich dobrych, szlachetnych intencji i możliwych w technice społecznej do wykonania propozycji,

— o piekielnej pracy górników polskich, którym nieważni komentarzy zarzucali, że plany im się załamały na skutek strajku, a nie na skutek głupiej polityki eksploatacji ludzi i rabunkowej gospodarki wobec kopalni,

— o świeżym powietrzu, które owionęło nasze życie moralne,

— o moralności, nie o tej nowej czy starej, tylko o moralności jako zespoleniu nakazów i zakazów wynikających z kondycji ludzkiej,

— o braku ciszy nocnej, w której „Bóg się rodzi”, bo sprawiedliwość rodzi się zawsze w wielkim krzyku i wołaniu o prawo,

— o pracy moich kolegów depeszowców i technicznych którzy całą tę nową gazetę — oby w nowym roku 1981

(DOKONCZENIE NA STR. 2)

Inicjatywa Stoczni Gdańskiej Fundusze na poszukiwania ropy naftowej

GDANSK (PAP). Podstawowa Organizacja Partyjna przy wydziale odlewniczym S-1 Stoczni Gdańskiej im. Lenina na ogólnym zebraniu wyborczym wystąpiła z inicjatywą gromadzenia funduszy społecznego na intensyfikację poszukiwań w Polsce ropy naftowej i gazu ziemnego. Inicjatywa ta spotkała się z dużym zainteresowaniem szczególnie na Wybrzeżu Gdańskim. Rozwinięciem tej inicjatywy jest powołanie w Stoczni Gdańskiej Rady społecznej.

Witraże odrzucone 80 lat temu przez kardynała Puzyńkę ozdobią Muzeum Wyspiańskiego

Ostatni, niespełniony zamysł autora „Wyzwolenia”

Przez 2 lata, od 1900 do 1902 roku pracował Stanisław Wyspiański nad 3 witrażami dla Katedry Wawelskiej. Witraże miały przedstawiać postacie św. Stanisława, Henryka Pobożnego i Kazimierza Wielkiego. Miały — bo gotowy już projekt został odrzucony.

(DOKONCZENIE NA STR. 2)

Świąteczna „GP”: 12 stron za 2 zł

Do czytania, do myślenia do Waszej wiadomości

Jak główny wigilijny posiłek powinien składać się — choćby ze skromnych — przystawek, dań głównych, deserów i dodatków, tak i ten świąteczny numer „GP” staraliśmy się przygotować wedle błędniego przepisu. Nie nam decydować, od czego Czytelnik zacznie lekturę. Każdy zapewne od tego, co najbardziej

(DOKONCZENIE NA STR. 2)

Maciej Szumowski — w pół słowa

Wśród nocnej ciszy... bądźmy razem

leż to już razy na mełonie polskiej koledy śpiewano pozorne deklaracje o jedności polskiej kulturze, i pozorowanej zgodzie społecznej. Śpiewano, o śpiewano! Każdy wie, że nie były to najczystsze tony. Nie chciałyby śpiewać w roku 1980 tak nieskładnie. Po raz pierwszy mam nadzieję, że słowa o porozumieniu społecznym, słowa o demokracji mają swoją prawdziwą wagę. Dlaczego tak myślę i skąd we mnie tyle optymizmu?

Liczę się fakty. A tych jest wiele. Od polskiego Sierpnia aż po dzień dzisiejszy przeszliśmy wszyscy trudną drogę. I władza i społeczeństwo. Wielkie porozumienie społeczne nie

powstało z dnia na dzień. Rodziło się w otwartym starciu racji, w dniach i godzinach ogromnego napięcia. Zdawało mi się, że nie wytrzymałam tej wojny nerwów. Zdaje mi się i dziś — bo są takie godziny — że wszystko to na nic. I na nie moje szarpnięcie. Ale przecież przychodziły chwile wielkiego odprężenia, były i są dni, w których czuję się potrzebny, bo widzę sens jasnego określenia swoich poglądów. Wiem, że to jest niezbędne i to też jest optymistycznie. Wiem gdzie jestem, po której stronie, i wiem w

końcu jaki typ myślenia jest mi bliższy i jaki daleki. W tej samej sytuacji jest dziś każdy z nas. I tu dochodzimy do tego co naprawdę może radować. My wszyscy mamy tę wielką, niepowtarzalną szansę wyboru. Mamą szansę publicznego określenia siebie za taką lub inną drogą naprawy Rzeczypospolitej. Niezawisłość myślenia społecznego to przecież nie to samo co niedłuszenie małe prawo do wyrażania prywatnie swoich myśli. Nikt przecież tych myśli nie chciał słuchać poza tymi najbliższymi, którzy i tak je przecież znali. To był najdotkliwszy gest próżności władzy — to marnotrawienie naszych wspól-

nych myśli, poglądów i doświadczeń. To była wolność rządzących od nas, wolność od jakichkolwiek zobowiązań wobec naszego obywatelskiego myślenia. To był po prostu brak wolności. Dziś jest wielka szansa. Powtarzam, tylko szansa, aby ten wielki potencjał intelektualny narodu wziąć i podnieść do rangi wielkiej racji państwowej. To jest racja Polski i to jest racja socjalizmu.

Jak to zrobić? Myślę, że nikt na to nie ma recepty. I chyba dobrze, że nie ma. Porozumienia społeczne, narodowa zgoda zaistniała dlatego by wspólnie te rozwiązania znaleźć. Myślę, że nikt dziś tej jedności nie uważa za pozorą. W tej

jedności nasza nadzieja. To jest szansa władzy i szansa każdego z nas. Nikt kto szerzej myśli nie powie nam, że to będzie łatwy proces — ten dialog o przyszłości, o spory o współczesność. Nie sądmy równie, że ja nie znajduję w tej sprawie da się przesadzić z góry — bez naszego obywatelskiego udziału.

Dlatego wszystkim zasia- dającym, do wigilijnego stołu zycząc odważi i realizmu. Spokoju i konsekwencji. Życząc szczęścia — choć wiem, że ja nie znajduję go pod choinką. Oby pomyślność nie była tylko marzeniem!

(DOKONCZENIE NA STR. 12)

Kronika dnia

Spotkanie przedstawicieli MKZ „Małopolska” z Krystynem Dąbrową

W dniu wczorajszym odbyło się spotkanie przedstawicieli MKZ „Małopolska” z Krystynem Dąbrową. W dnu wczorajszym odbyło się spotkanie przedstawicieli MKZ „Małopolska” z Krystynem Dąbrową. W dnu wczorajszym odbyło się spotkanie przedstawicieli MKZ „Małopolska” z Krystynem Dąbrową.

Spotkanie komisji związków branżowych z wojewodą tarnowskim

Ostatnio odbyło się posiedzenie delegatów reprezentujących branżowe związki zawodowe z wojewodą tarnowskim. Powołano Wojewódzką Komisję Porozumiewawczą Branżowych Związków Zawodowych.

Sesja MRN w Tarnowie

Wczorajszą sesję Miejskiej Rady Narodowej w Tarnowie otworzył dotychczasowy jej przewodniczący Jerzy Malinowski.

Z dalekopisu

SPOTKANIE (a) 23 bm. przez Rady Ministrów Józef Piłkowski przyjął prezesa Stowarzyszenia Architektów Polskich Tadeusza Mrówczyńskiego i prezesa Towarzystwa Urbanistów Polskich Andrzeja Pyszowskiego.

POGODA

KRAKOWSKIE BIURO PROGNOZ IMGW INFORMUJE: Sytuacja baryczna: Polska jest w zatoce niżowej z systemem frontów atmosferycznych.

Zegnając Tadeusza Legutkę

Ze ściśniętym sercem piszemy dzisiaj słowa o śmieciach naszego Przyjaciela, byłego dyrektora Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”, później zaś, w latach 1971-1980, dyrektora Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Tow. Janinie Kuźnik

wyraczy głębokiego współczucia z powodu śmierci MATEKI składają PRACOWNICY KOMITETU KRAKOWSKIEGO PZPR

Posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR

Sytuacja społeczno-polityczna Wstrzymanie rozbudowy Tarnowskiej Fabryki Urządzeń Górniczych

WARSZAWA (PAP). Biuro Polityczne KC PZPR na posiedzeniu 23 bm. oceniło niektóre aspekty sytuacji społeczno-politycznej w kraju, a także zapoznawało się z wstępnymi problemami projektu planu na 1981 r. oraz z pracami nad reformą gospodarczą.

Biuro Polityczne zaleciło, aby na ważniejszych budowlach, które będą wstrzymane, powołać pełnomocników rządu dla właściwego rozwiązania problemów związanych z zatrudnieniem tamtejszych załóg, z wykorzystaniem zwolnionego potencjału wykonawczego itp.

Zapoznając się z pracami nad reformą gospodarczą, Biuro Polityczne KC PZPR podkreśliło duży postęp tych prac, zgłoszono wiele cennych propozycji i wniosków, wpłynęło wiele projektów rozwiązań opracowanych indywidualnie i zespołowo.

Odnaczenia państwowe dla twórców i działaczy kultury

WARSZAWA (PAP). 23 bm. odbyła się w Ministerstwie Kultury i Sztuki uroczystość dekoracji wybitnych twórców, działaczy i pracowników kultury odznaczeniami państwowymi nadanymi im przez Radę Państwa za zasługi w pracy twórczej i społecznej.

Order Sztandaru Pracy II klasy otrzymał: Konrad Szrednicki — artysta plastyk. Krzyż Komandorski z Gwiazdą OOP: Igor Abramow — Nowy — literat.

A jednak nie uda się uniknąć wzruszenia

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1) „Krakowska” — zrobić musza w terminie, nie wychodząc z redakcji po kilkanaście godzin, — o subordynacji i wielkiej przyjaźni drukarzy, deklarujących często pracę dodatkową przy przelamywaniu kolumn,

— o chłopach, którzy pozucili się gospodarzami swoich kawałków ziemi nie dla pustej ambicji lecz dlatego, że są społecznie ważni, że na ich pracę liczą ludzie miast, — o robotnikach, którzy w czasie tragicznych często zebrań mówią, że właśnie oni są siłą zdolną do naprawy partii, do odbudowy Rzeczypospolitej.

Dziś o północy

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1) wieży. A najpiękniej — jak twierdzą przygotowujący transmisję „Pasterki” dźwiękowcy — na Dębnikach, do kad głoś dotąd niesiony przez wody Wisły...

Pokojowe orędzie papieża

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1) leczną, traktowaną przez Jana Pawła II jako bezpośredni eszennik pokoju, oparte na sprawiedliwości i godności ludzkiej.

Nowe edycje utworów Cz. Miłosa przygotowują wydawcy

WARSZAWA (PAP). Kilka to mów poezji i prozy Czesława Miłosa przygotowują wydawnictwo do publikowania w 1981 r. Państwowy Instytut Wydawniczy zamierza opublikować „Wybór poezji” obejmujący wiersze i poematy, tom esejowy o poezji zatytułowany „Przywotne obywateli” i studium poświęcone Stanisławowi Brzozowskiemu „Człowiek wśród skorpionów”.

„Kto ilu potraw nie skosztuje, tyle go przyjemności w ciągu roku ominie!”

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1) Zygmunta Glogera w swojej „Encyklopedii Staropolskiej” pod hasłem „kolejda” pisze: — W Polsce gdy przyszły Gody, nie było końca najrozmaitszym zabawom, powinszowaniom, podarkom, przebieraniam się za żydów, cyganów, niedźwiedzi, kozy, tury, chodzeniu do domach ze śpiwetem kolejda, z wilkiem żywym, a w braku takowego z chłopcem przebranym w wilczą skórę.

Wspianiałe barwe postaci

Wspianiałe barwe postaci diabłów, śmierci, turonów, herodów, aniółów przemaszerały wczoraj, 23. bm. w barwnym świątecznym pochodzie trasą od Barbakanu do Rynku Głównego jak każde stara, historyczna tradycja, z kołdami, śpiewem i muzyką kapel regionalnych.

Dla kogo to puste miejsce przy wigilijnym stole

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1) Prof. dr JAN OSZACKI, chirurg: — To miejsce zostawiamy dla syna Józefa, który jest w Ameryce. Najbliższy w rodzinie, a chwilowo tak daleki. A także dla zmarłych rodziców i brata, wieści Oświęcimia, który zginął w Zatoce Łubieckiej w maju 1945 roku tuż przed końcem wojny.

K. Tyrański skazany na 15 lat pozbawienia wolności i milion zł grzywny

WARSZAWA (PAP). Orzeczenie Sądu Wojewódzkiego w Warszawie uznające byłego dyrektora nacelnego „Minexu” Kazimierza Tyrańskiego winnym zarchizowanych mu czynów i skazującego na karę 15 lat pozbawienia wolności i milion złotych grzywny zakończyło 23 bm. największą aferę lapowniczą w historii powojennego sądownictwa.

W. Kunz wybrany nowym rektorem krakowskiej ASP

Chyba jeszcze nigdy w swych dziejach krakowska Akademia Sztuk Pięknych im. Jana Matejki nie miała takich wyborów nowego rektora: obrady trwały długo, zaś 31 elektorem przyszło wybrać spośród 13 zgłoszonych kandydatów na to stanowisko.

Do czytania, do myślenia

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1) dzieł interesuje. By jednak ten wybór ułatwić — kilka informacji o tym numerze. TEMATY DO MYŚLENIA, czyli coś w rodzaju idei przewodniej dziesięciu „Gazety”, idealnie wpisane na różne gody i formy dziennikarstwa. Jest nią poszukiwanie tego, co Polaków łączy — mimo przeciwności. M. in. o odpowiedzi na trzy to same pytania poprosiliśmy i sekretarza KK PZPR, redaktora nacelnego znanego pisma katolickiego „Tygodnika Powszechnego” i jednego z przewodników nowej siły społecznej, jaką w naszym kraju jest „Solidarność”. Każdego zachęcamy do porównań — ile ich łączy, jak niewiele w gruncie rzeczy dzieli.

Kolejny napad na taksówkarza

(G.P.) W ostatnim czasie mnoga się napady na taksówkarzy. Przystępnie walnie sądzi, że właściciele taxi posiadają przy sobie większą gotówkę i decydują się na szczególnie niebezpieczne rajdy. Z reguły lub ograniczone do kilkunastu złotych... Przed kilkunastoma dniami krakowska milicja ujęła sprawcę napadu na taksówkarza aby w dniu 20 grudnia aresztować kolejnego amatora cudzych pieniędzy.

Tadeusz Legutko

Po długotrwałej walce z nieuleczalną chorobą zmarł w Warszawie w dniu 23 grudnia 1980 r., w 61 roku życia

Tadeusz Legutko

W. długoletni s-a dyrektora Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego i b. długoletni dyrektor Prasowych Zakładów Graficznych, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym i Srebrnym Krzyżami Zasługi, Złotą Odznaką „Za pracę społeczną dla m. Krakowa”, Odznaką „Za zasługi dla RSW „Prasa-Książka-Ruch” i wieloma innymi wyróżnieniami, niegdyś wybitny sportowiec i działacz sportowy.

Tadeusz Legutko

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 23 grudnia 1980 r. zmarł, w wieku 61 lat

Tadeusz Legutko

dyrektor Prasowych Zakładów Graficznych, b. zastępca dyrektora Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i innymi odznaczeniami państwowymi, sportowcem i regionalnym.

Tadeusz Legutko

W Zmarłym utraciliśmy prawego Osłowieka i Przyjaciela. Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy serdecznego współczucia i żalu.

Tadeusz Legutko

Ze ściśniętym sercem piszemy dzisiaj słowa o śmieciach naszego Przyjaciela, byłego dyrektora Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch”, później zaś, w latach 1971-1980, dyrektora Prasowych Zakładów Graficznych RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Tadeusz Legutko

Kiedy w lipcu tego roku odchodził na zasłużoną emeryturę, nie spodziewaliśmy się, że sympatyczny chorobą tak szybko rozwija się w ciężkie schorzenie.

Tadeusz Legutko

dyrektor Prasowych Zakładów Graficznych, b. zastępca dyrektora Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i innymi odznaczeniami państwowymi, sportowcem i regionalnym.

Tadeusz Legutko

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że dnia 23 grudnia 1980 r. zmarł, w wieku 61 lat

Tadeusz Legutko

dyrektor Prasowych Zakładów Graficznych, b. zastępca dyrektora Krakowskiego Wydawnictwa Prasowego, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i innymi odznaczeniami państwowymi, sportowcem i regionalnym.

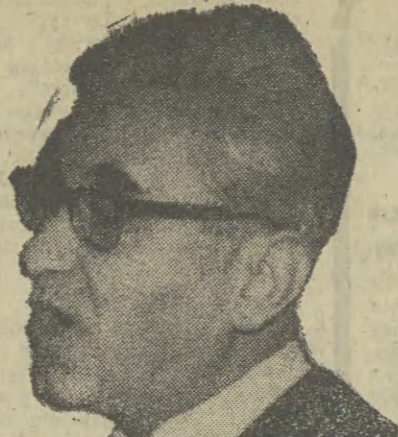
1. Czy pan wierzy w możliwość osiągnięcia dzisiaj w Polsce zgody narodowej?
2. Jakie idee, postawy i wzorce powinny się złożyć na ową wspólną platformę porozumienia narodowego?
3. Jakie nasze cechy narodowe mogą wpłynąć dobrze lub źle na osiągnięcie tej zgody?



KRYSTYNA DĄBROWA



WŁADYSŁAW HARDEK



JERZY TUROWICZ

JERZY TUROWICZ

redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”

1. Gdybym powiedział, że wierzę w możliwość osiągnięcia dzisiaj w Polsce zgody narodowej, to obawiam się, że słusznie — oskarżono by mnie o brak realizmu, brak poczucia rzeczywistości. Natomiast owszem, wierzę w możliwość osiągnięcia dość wysokiego stopnia zgody narodowej, dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. Warunkiem owej zgody jest przede wszystkim pełna i uczciwa dotrzymanie — przez obie strony — owej umowy społecznej zawartej między władzą i społeczeństwem w sierpniu br. i w dniach następnych, uczciwie — a zarażeniem łączące się z rzeczywistością — kontynuowanie procesu odnowy życia społecznego. Warunkiem jest rozwiązanie wszelkich mogących powstać nieporozumień czy konfliktów na drodze cierpliwego dialogu, negocjacji, mających na celu dobro wspólne całego społeczeństwa, biorących pod uwagę rację stanu. Warunkiem jest wreszcie spokój, wyważona i wydatna, dobrze zorganizowana praca, rozważa i poczucie odpowiedzialności.

2. To co powiedziałem przed chwilą wskazuje na owe idee i postawy. Trudno w rozmowie telefonicznej przedstawić ich uporządkowany i w miarę pełny katalog. Powiedzmy, że należy tu najogólniej pojęta idea demokracji, a więc rzeczywistego udziału społeczeństwa w kształtowaniu własnego losu, co z kolei oznaczać musi wolność opinii, wolność prasy, wolność konstruktywnej krytyki, wolność stowarzyszania się, pozwalająca na powstawanie struktur pośrednich między władzą i społeczeństwem, daleko idącą jawność życia publicznego oraz — oczywiście — praworządność zabezpieczającą prawa każdego obywatela. Chcę wierzyć, że zrealizowanie tych zasad w dokonującym się procesie odnowy, nie stoi w żadnej sprzeczności z socjalistycznym charakterem naszego państwa oraz systemem sojuszu międzynarodowych tego państwa, zgodnych z jego racją stanu. Pozwólcie mi, redaktorze, położyć brutalnie kropkę nad i. Rzeczywistość społeczno-polityczna naszego kraju była nacechowana — przez długie lata — aspektami totalizmu, narzucającego ludziom określoną ideologię, wykluczającego wszelki pluralizm światopoglądowy, nie dopuszczającego do głosu uprawnionej i powodowanej troską o dobro wspólne krytyki i w konsekwencji — stwarzającego nieprzekraczalny przedział między władzą a społeczeństwem, zerwanie komunikacji. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że kontynuowanie takiego stanu rzeczy wykluczałoby możliwość osiągnięcia zgody narodowej. Sądzę, że byłoby ono także szkodliwe dla samego ustroju socjalistycznego.

3. Cechy narodowe? Tu jesteśmy na nieco grząskim terenie. Czy Polacy są pracowici? Wiadomo, że w pewnych warunkach potrafili pracować znakomicie, lepiej niż inni. Wiadomo, że w innych warunkach pracują bardzo źle. Czy przyczyną tego stanu rzeczy leżą w charakterze narodowym? Wątpię. Czy Polacy są nacechowani rozważa i poczuciem odpowiedzialności? Stereotyp Polaka raczej skłaniałby do odpowiedzi negatywnej. Wydarzenia ostatnich tygodni, miesiący wykazały, że jest inaczej. Powiem tylko, że cechy mogące wpływać dobrze to te już wspomniane: rozważa, poczucie odpowiedzialności, umiar, rzetelne spełnianie swoich obowiązków przez każdego obywatela, gotowość do przyjęcia koniecznych wyrzeczeń i ofiar. To także — charakterystyczna przecież dla Polaków — tolerancja dla cudzych przekonań, świadomość, że w pracy dla wspólnego dobra jest miejsce na różnorodność motywacji i postaw. Cechy negatywne to m. in. prywata i anarchia oraz cechy przeciwnie wcześniej wymienionym, a więc brak poczucia odpowiedzialności, brak rozważa, brak umiaru.

KRYSTYNA DĄBROWA

I sekretarz Komitetu Krakowskiego PZPR

1. Wierzę — i wierzę w to, że nie będzie to zgoda tylko faktyczna. Jest sprawdzona, że przyjaźnie, które za dziesięć lat w sytuacjach trudnych — trwają całe lata. Podobnie jest ze zgodą. Im więcej przeszkód na jej drodze, konfliktów pozornych lub faktycznych — tym wprawdzie wyższa cena zgody, ale i zgoda pełniejsza. A bez niej niczego przecież nie uda się nam w kraju dokonać.

2. Chyba najtrafniej określa te idee czy postawy sformułowanie Stanisława Kania o sojuszu rozsądki i odpowiedzialności. Jest to pojęcie bardzo szerokie — idzie bowiem o rozsądek i odpowiedzialność w sprawach małych i dużych, w sprawach codziennych i tych na miarę historii. Po prostu — każdy musi przelożyć sobie te pojęcia na własny użytek i na własne możliwości, w stosunku zarówno do siebie, jak i do innych. Umiejętność trwałego urzeczywistnienia tego porozumienia wymaga wypracowania wspólnej — mimo różnic poglądów — kultury politycznej. Jest ona niezbędna do tego, żeby razem myśleć o najważniejszych dla kraju celach społecznych. Tej kultury muszą się uczyć wszyscy — także ludzie partii. Powinniśmy do tego wykorzystywać również dyskusję przedzjazdową.

3. Wszystko zależy od tego czy z tej wielkiej, polskiej fantazji, wielkiego ruchu umysłów, odwagi — także typowo polskiej — potrafimy zrobić społeczny użytek, nasz wspólny kapitał, czy też pozwolimy na rozproszenie się tego potencjału tylko w słowach. Ten użytek musi być zrobiony wszędzie; nie czynimy fałszywych podziałów — że jedni są tylko do dyskusowania, drudzy tylko do praktyki społecznej. Jak kiedyś symbolem niemożności był chocholi taniec, przed którym przestrzegali Wypianscy — tak dziś musimy uważać, żeby nie uśpić się gadaniem.

Porozumienie społeczne w Polsce jest faktem. Przed sierpniem 1980 r. mówiono tylko o jedności. Była to jedność za wszelką cenę — za cenę prawdy również. Dziś prawdą są wspólne społeczne cele, prawdą są również różnice dzielące uczestników narodowego dialogu. Dziś nie trzeba atmosfery niezwykłej by obok siebie zasiadł człowiek partii, katolik, robotnik z „Solidarności”. Jeśli się wsłuchać w ich myślenie — w język społecznych postulatów, to staje się jasne, że mówią o jednym. O jednej Polsce po prostu. O takiej Polsce, w której każdy ma prawo do myślenia kategoriami obywatelskiej troski.

To pewne, że umiejętności prowadzenia tego dialogu uczą się wszyscy. I uczyć się będą długo. Bo ileż to trzeba przełamać jeszcze nawyków myślenia — wzajemnej nieufności, złych skojarzeń. Wielu z nas irytuje powolność tego procesu jednoczenia wysiłków we wspólnej, czystej przecież intencji. Jeśli jednak okaże się, że nie jest to strasliwe ociąganie się czy kolejna próba taktyczna, to wówczas do dojrzewania, trudne i rozciągające w czasie może okazać się bardziej autentyczne, niż kilka deklaracji o zgodzie. Bo jeśli dziś myślimy o pojednaniu, to nie mamy na myśli jeszcze jedynego hasła, jeszcze jednego okrzyku „kochajmy się”...

Chodzi przecież o takie zmiany w świadomości, które sprawią, że w Polsce zaistnieją takie mechanizmy, które w sposób naturalny umożliwią będą czerpanie z mądrości zbiorowej narodu. I taki będzie realny sens porozumienia.

WŁADYSŁAW HARDEK

przewodniczący KRH NSZZ „Solidarność” w Mił

1. Trudno mówić o osiągnięciu pełnej zgody narodowej, ponieważ w moim odczuciu w zasadzie ta zgoda istnieje. Przed sierpniem 80 nie było niezgody, lecz różnica zdań między aparatem władzy a narodem, w którym ta zgoda jest od wieków.

2. Przyszłość trzeba budować na wzajemnym szacunku dla siebie, na świadomości i zdyscyplinowaniu wewnętrznym. Platforma porozumienia będzie trwała, gdy władza będzie doceniała potrzeby narodu, a naród wtedy nie będzie żądał tego, co państwo i jego gospodarka dać naprawdę nie może. My chcemy stabilizacji wynikającej choćby z takich konkretnych: że punktualnie podjeżdża autobus, że będzie można kupić podstawowe artykuły, że będzie sprawiedliwość — nie żądamy superlaksusów! Tak, możemy lepiej pracować gdy zobaczymy, że praca nasza przynosi efekty, na coś się naprawdę przydad. Pozytywnym elementem jest też wzajemne poszanowanie i tolerancja religijna. Kościół odgrywa w naszym kraju rolę nie polityczną ale czysto duchową; jednemu naród i daje spokój. Byłem świadkiem uroczystości obchodów „Grudnia 70” w Szczecinie, gdzie na jednej trybunie stał obok siebie przedstawiciel władz państwowo-partyjnych, kościelnych i „Solidarności”. Taka postawa sprzyja umacnianiu piśmiennego porozumienia.

3. Sierpień pokazał naczynię, że polski naród nie jest bałaganiarski ani leniwy. Ujawniły się takie cechy jak rzetelność i uczciwość, mądra odwaga. Dotychczasowa organizacja życia społecznego nie sprzyjała uwewnętrznianiu się tych pozytywnych cech. Trzeba je teraz pielęgnować, wyciągać na wierzch. Poza tym Polak nie lubi narzucania mu czyjejś woli, lubi sam stanowić o sobie. Dlatego nie można nic robić bez opinii narodu, ubrew jego woli! Pomagać też będzie tak mocne u większości rodaków poczucie polskości i dumy narodowej.

Fragmety notatek

Istnieje w polskiej tradycji wigilijnej piękny zwyczaj. Jedno miejsce przy stole w ten wieczór zostaje puste. Dla kogoś, kto może nie zdażył do domu swego na Wigilię, dla kogoś kto zbłądził, dla człowieka, który domu nie ma.

Jeśli dziś drukujemy reportaż o ludziach z Grudnia 1970 roku, to jest w tym pamięć o tej tradycji — pamięć o nieobecnych przy rodzinnym — wigilijnym stole...

Wracając do spraw tragicznych, bolesnych i najtrudniejszych w naszej powojennej historii, czynimy to w czystej intencji. Nie dlatego, by ból był większy, ale w imię prawdy i szczerości, która w Wigilię łączy wszystkich, a nie dzieli. Z nadzieją, że ten ton świątecznej atmosfery porozumienia zostanie. Z nadzieją, że spłynie również melodia kołomyś na pamięć o TAMTYM GRUDNIU. Nie dla prostego ukojenia, ale dla wielkiej, choć trudnej, narodowej zgody.

Gdynia — Stocznia

To było gdzieś tu, w zasięgu wzroku. Poda mną tory i perony kolejki, z której WIEDY co chwile wysypywali się nowi ludzie. Za plecami bloki i hotele robotnicze. Na horyzoncie dźwięki i żurawie przesłonięte grudniową mgiełką.

Kładka, która idę, schodzi się na niewielki wiadukt nad jakąś bocznica (dziś na torach stają kontenery Polish Ocean Lines, co tu było wtedy?), dalej małe rondo i ulice prowadzące do gdyńskiego portu i stoczni. Przy zejściu z kładki miał stać kordon MO, rychło — przecież z każdą minutą napływało ludzi, którzy WIEDY, w ciemny grudniowy świt 17 grudnia, wybrali się do pracy — odepchnięty dalej. Przy rondzie czołgi, sylwetki w wojskowych mundurach...

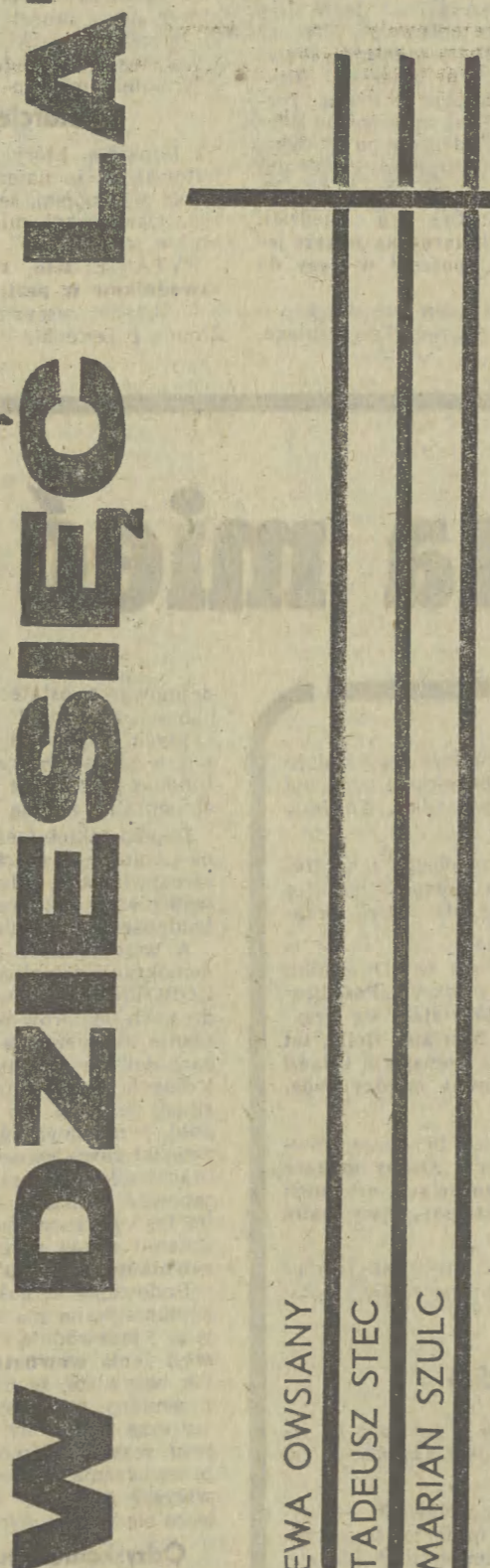
„Jak to było? Jak było naprawdę? Usłyszałem już dziesiątki relacji, przeczytałem dziesiątki stron — i nadal nie wiem. Stoję w tym samym miejscu, wywołuję cienie, ale nie widzę. Jak się dowiedzieć o czym myśleli ci w tankietkach i o czym myśleli ci, którzy na wezwanie wicepreziera idąc do pracy nakłniali się na te tankietki od fabrycznej bramy ich dzielące?”

„Wiem, że w pewnym momencie postanowił przejść. Chwycił się za ramię, ruszył. Spiewał coś? Jedni mówią, że tak, że hymn. Inni, że „Międzynarodówkę”. Wielu żadnych śpiewów nie pamięta.

„A „druga strona”? Co myśli słysząc komendę „pał”? W co celowali? Pierwsza salwa poszła w bruk — a dalsze? Może w tym porannym mroku tłum zdał im się groźniejszy jeszcze niż bywają tłumy... Może tecki z drugim śniadaniem wyglądały jak najgroźniejsza broń...”

„Wczuwam się w szczegóły, w drobiazgi, w myśli — w to wszystko, czego nigdy poznać nie zdolam, bo nikt już tego chyba nie pamięta, a jeśli nawet opowiada jakby pamiętał, to jest to już opowieść „na okragło”, od prawdy odległa. Upieram się przy tych szczegółach, bo jeśli ich nie będzie, to przyjdzie pozostać przy suchej cyfrze ofiar i lakonicznym opisie: „Wjeżdża do stoczni blokuje wojsko. Tlum rusza w jego kierunku. Rozlegają się pierwsze strzały. Są zabieli i ranni. Zająścia uliczne trwały od wczesnego rana do godzin popołudniowych”. (M. F. Rakowski w „Polityce”).

W DZIESIEĆ LAT PÓŹNIEJ



EW A OWSIANY
T ADEUSZ STEC
M ARIAN SZULC

To też prawda. Bardzo ogólna, ale prawda. Tylko czy jej ogólność nie drażni, nie rodzi wyolbrzymiających plotek? Czy godzi żywych i umarłych, jedną i drugą stronę — ponad tym dramatem?

Dziś tuż koło tego ronda warkoczą spychacze. Równają ziemię wokół pomnika. Trzymetrowe cyfry 1, 9 i 0 srebrzą się w mędnym grudniowym słońcu. Pomędzy ostatnimi cyframi upada zmiażdżony w siódemkę człowiek.

Puste miejsce

— Jeszcze w Wigilię ludziliśmy się, że może siedzi. Nie było żadnych wiadomości, od nikogo. Dopiero mąż poszedł 6 stycznia i dowiedział się, że jest na liście zmarłych. Syn uczył się w

Szczególnie, a tu przyjechał na swoje niezaczerpiecie...

„To była okropna Gwiazdka — mówi kobieta przez łyż. — Puste miejsce, pustą talerz, całe święta przemęczyłam, stale czekałam, że on przyjdzie, że będzie na Wigilię...”

Opowieść Władysława Grudnia

— Herbatkę? Już robię, widzę, że pan zmarzył. Byłem w tyłu opresjach — gospodarz rozkłada ręce — w partyzantce na Wileńszczyźnie, potem za Uralem i wyszedłem cało, aż tu latem wysiadam na naszym osiedlu z autobusu, zaczepiam o drzwi nogą i trach — poszła kość u nogi nad kostką. Ale nie straciłem, proszę pana, kontaktu ze stocznia, zwłaszcza, jak wzbuchi strajk. Zaraz następnego dnia zakuszykałem na wydział stolarni — bo jestem stolarem — i pytam: chłopaki w czym wam pomóc? Władek ty z twoją nogą przydasz się przy wydawaniu posiłków, a jak będziesz mógł — to i przy roznoszeniu. No to roznosilem, a jak trzeba było, zmywałem garnki, talerze.

Od dawna jestem komunistą, choć dopiero w 1960 roku zapisałem się do partii. I chcę zaznaczyć, że jestem polskim komunistą. Nie byłem nigdy działaczem, aktywistą, bo myślę, że do tego inni nadają się lepiej ode mnie. Ale robotnicza sprawa, to dla mnie rzecz święta. Dlatego wówczas w grudniu nie zawahałem się. Ta podwyżka cen uderzyła w nas niczym obuchem. Naszym rodzinom groziła po prostu bieda. Nie mieściło mi się w głowie, jak władza robotnicza mogła coś takiego uczynić.

Bez zwlekania razem z innymi poszedłem pod dyrekcję stoczni, żeby szukać sprawiedliwości. Ale przed dyrekcją nie było z kim rozmawiać, więc wyszliśmy na miasto, w stronę gmachu KW. Pamiętam jak dziś, było to w poniedziałek 14 grudnia. Szliśmy w roboczych ubraniach, w kaskach na głowach, śpiewaliśmy „Międzynarodówkę”, „Boże coś Polskę” i „Jeszcze Polska...” Nasi delegaci domagali się rozmowy z I sekretarzem KW Alojzym Karkoszką — wyjechał jednak do Warszawy na plenum KC. W jego zastępstwie przy wejściu do budynku pojawił się sekretarz Zenon Jundziłł i jedynce, co miał do zaproponowania, to powrót do pracy.

Czuliśmy się bezradni, opuszczeni, oszukani. Z tej beznadziejności wpadliśmy w rozpacz, ale potem wstąpił w nas gniew. Straszny gniew. A jak jeszcze zobaczyliśmy, że jedyny argument władzy wobec naszej niedoli jest siła — już nikt nie był w stanie zapanować nad sytuacją.

Wiedziałem, że dzieje się coś strasznego, myślałem, że mi serce pęknie. Ja robotnik-komunista, obywatel robotniczego państwa, walczę z tymi, którzy mówią, że rządzą w moim imieniu. Wiedziałem, a może bardziej przeczuwałem, że jest tu jakieś wielkie oszustwo, że zostalem zdradzony i zawiedziony. I o tym pisałem wtedy w swoich wierszach. Niech pan się nie śmieje, ale ja pisuję wiersze. Tak dla siebie. Najwyżej czytają je żonie, dawniej — dzieciom, bo teraz już dorosłe i są na swoim. Nieraz coś takiego mnie nachodzi, czasami nawet w tramwaju. Wyciągam ołówek i układają mi się rymy. Najwyżej właśnie wtedy, w grudniu. Niewiele jednak ich zostało, gdzieś mi pozabierali. I to te wiersze, które najbardziej mi się podobają.

Ulotka

Zapomnieli moiżni, że z ludu pochodzą
Zaprzagnęli władzy i ludowi szkoda (...)
Możnowładcy tak się już rozpanoszyli
Ceny podwyżczyli, pensje obniżyli,
Ludu nie pytali, w KC załatwili
Hej koleda, koleda...

(Z anonimowej piosenki jakie krążyły w odpisach w grudniu 1970 r.)

Rozwiew

W gazetach pisało się „sily porządku”. W Trójmieście się mówi: „tamta strona”. Tamta? To trochę tak, jak „oni”, ci przyszłowi „oni”, którzy przez lata zrobili, zadecydowali, podnieśli... Tylko „oni” to pojęcie z gramatyki, formuła koniugacji, nie tak odległa od „my”, inna osoba w odmianie, po prostu. „Tamta strona” zaś brzmi ostrzej, znacznie wyraźniej rozgranicza. Więc to jakby kolejny, wyższy stopień tego podziału na rządzących i rządzonych, którego nikt nie chce, ale który co zakrętu pojawia się z nową siłą.

Z drugiej strony

Rozmówca — były przedstawiciel władz Trójmiasta — zgodził się na wyrażenie swojej opinii na temat wydarzeń grudniowych w 1970 roku, ale zastrzegł sobie nieujawnianie swojego nazwiska.

Chciałbym prosić o pańską ocenę wydarzeń w Gdyni.

— Powiedzieć można tylko jedno: To było strasznie tragiczne w skutkach nieporozumienie. O ile w Gdańsku miały faktycznie miejsce przypadki działań niszczycielskich i w pewnym sensie można ostatecznie zrozumieć — lecz nie usprawiedliwić — podjęcie decyzji o użyciu sily, to w Gdyni nie było absolutnie żadnych do tego podstaw.

Podam kilka faktów. We wtorek 15 grudnia pod Miejską Radę Narodową przybyli robotnicy ze Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Ówczesny przewodniczący MRN Jan Mariański gotów był uczynić wszystko, by nie dopuścić do użycia przemocy wobec strajkujących stoczniowców. Zmiał on Międzyzakładowy Komitet Strajkowy i oddał mu władzę w mieście. Przyjął wszystkie postulaty robotników i podjął się zorganizowania komisji rządowej w celu ich omówienia. Wieczorem udał się do siedziby MKS, który mieścił się w Zakładowym Domu Kultury, by nawiązać z przedstawicielstwem strajkujących bliższy kontakt. Ale w nocy z wtorku na środę stała się rzecz fatalna. Aresztowany został cały MKS.

A kto wydał rozkaz strzelania?

— Niestety, nie potrafiałem odpowiedzieć na to pytanie. Wydaje mi się bardzo udne ustalenie odpowiedzialności jednostkowej. Sądzę, że nikt takiego rozkazu imiennie nie podpisał. Działali tu bowiem skomplikowane mechanizmy. Polityka wszak to zawia sprawa. Funkcjonowało wówczas kilka odrębnych, niezależnych od siebie ośrodków

dyspozycyjnych. Przypuszczam, że ekipa rządowa, która przybyła z Warszawy na Wybrzeże, otrzymała od władz najwyższych jedną ogólną instrukcję: stosować sily w sytuacjach krańcowych. Ale pojęcie to nie dla każdego oznaczało to samo. Kliszko np. ocenił sytuację na Wybrzeżu jako kontrolowalną, co oznaczało dla niego jedno: użycie broni. Generał Korczyński to typowa wojskowa mentalność. On chyba również zbyt długo się nie zastanawiał.

Czy poinformował pana ktoś o podjęciu takiej decyzji?

— Gdy usłyszałem pierwsze strzały...

Jaka zdaniem pana była liczba ofiar w Gdyni?

— Nie wiem, lecz sądzę, że podawane liczby poległych są niekiedy wyolbrzymiane.

Co upoważnia pana do takiego stwierdzenia?

— Człowiek nie może zginąć bez śladu. Do listy ofiar, podanej już za Gierka, do tej pory — o ile wiem — nie zostały zgłoszone żadne nowe nazwiska zabitych, a myślę, że uczyniłoby to rodziny pominiętych ofiar.

Chciałbym dodać, że w czasie strzelaniny padali na ziemię nie tylko zabieli i ranni, ale także zdrowi — by uniknąć postrzału. Szpitale istotnie przepełnione były rannymi, ale większość z nich udało się uratować. Nie zamierzam w ten sposób zmniejszać rozmiarów tragedii, idzie tu najwyraźniej o ustalenie faktów.

Co może pan powiedzieć o tych, którzy strzelali?

— Właśnie jest to druga strona tego dramatu, nigdzie chyba dotąd nie poruszana. Idzie o dramat milicjantów i żołnierzy (...)

Bilans

Żniwo wydarzeń na Wybrzeżu (autor pisze łącznie o tym, co działo się w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie i Elblągu — przyp. „GP”) było przerażające. Śmierć poniosło 45 osób, rannych było 1165 osób. Podpalono i całkowicie lub częściowo zniszczono 19 obiektów użyteczności publicznej, wśród nich gmachy komitetów wojewódzkich partii w Gdańsku i w Szczecinie. Zniszczono lub uszkodzono 47 cywilnych pojazdów i sprzętu milicyjno-wojskowego. Podpalono i zniszczono 270 sklepów.

Organa porządkowe zatrzymały od 14 do 20 grudnia na terenie Wybrzeża łącznie 2989 osób, z tej liczby do 18 stycznia 1971 r. zwolniono

(CIĄG DALSZY NA STR. 4)

JERZY HARASYMOWICZ

Panorama z bloku

Tam — Kościół Mariacki

Lecz w dole w wykopie
jak wąwóz Samosierry dzikim...

Kościół Piotra i Pawła
w wąwozie robotnicy
szklani jak z lodu
niech pan nie przeszkadza
lilowy dach Dominikanów
w wykopie robotnicy
z mrozu siwi
ależ panie Jerzy
niech pan się przyjrzy
Bożego Ciała wieży

Z mrozu siwi
do pasa jak rybacy
w jeziorze
noszą belki pejzażu
starzy chłopci

którzy nie zostali
jak syn — dyrektorem
ale panie Jerzy
z czym się równać może
ciężko zbrojny gotyk

Z mrozu siwi
dają znać
zadymki rękawicą
jak Chrystus dźwigom

I pejzaż powstaje
robotniczym ciałem
z mrozu siwi
milczący jak ryba
wylewający z gumiaków
rzeki podziemne
rzeki poświęcane

Kraków Grudzień 77

z tonu „z nogami na stole”.

Pomiędzy pierwszymi strajkami lipcowymi a podniosłą uroczystością odsłonięcia pomnika Ofiar Grudnia 1970 r. na Wybrzeżu upłynęło prawie pół roku. Największym osiągnięciem tych miesięcy jest wyrwanie się narodu z uczucia rezygnacji. Więcej — robotnik, chłop, inteligent odczuli żywo, że to oni są twórcami historii narodu, ujeli jego los we własne ręce. Zgoda narodowa tę właśnie ideę niosie za sobą przede wszystkim.

Trzeba jednak zastanowić się razem, na co się jeszcze zgadzamy, z kim i z czym, a także na co się nie zgadzamy.

Na początek — rzecz oczywista — zgoda kojarzy się nam ze SPOKOJEM. Spokojem, potrzebnym robotnikowi, by mógł tworzyć dobra materialne, których tak brak i jemu, i nam wszystkim. Rządzącym — by mogli podejmować rozsądne decyzje. Naukowcom, nauczycielom i uczniom — by mogli się oddać nauce. Artystom — by powstawały rzeczy piękne. Oczywiście — byśmy się mogli czuć w niej bezpieczni.

Zgoda to taki stan pomiędzy ludźmi, który następuje po usunięciu rzeczy i zjawisk dzielących, różniących, prowadzących wcześniej do konfliktu. Porozumienie gdańskie i jego stopniowa realizacja usuwa część tych powodów. Ale przecież idzie o to, aby konflikty i napięcia nie powstawały — albo raczej — by ujawniano je nim staną się tak nieznosne że pozostaje jedynie protest, użyte siłach presji, w rodzaju strajku. Czy osiągnęliśmy już taki stan organizacji życia publicznego, stosunków ekonomicznych i politycznych, który gwarantuje spokojnie i twórczo rozwiązywanie sprzeczności społecznych? Czy mamy gwarancje, że ODNOWA nie rozpłynie się w rzecze rozliczeń personalnych, politycznych sloganach, w codziennej walce z kłopotami rynkowymi i produkcyjnymi?

Byłoby bardzo nieuczciwie, gdyby ktokolwiek odpowiedział twierdząco! Nie mogą tak powiedzieć ani rządzący, ani obywatele. Jeśli w imię dobra Polski myśli się i mówi o odnowie, a zdecydowana większość spośród nas, bez względu na stosunek do religii, przynależność partyjną, wiek czy zawód itp. tak rzecz pojmuje, to musi odpowiedzieć przecząco. Odnowę musimy zaprogramować, wyraźnie określić, co przez nią rozumiemy, co chcemy osiągnąć. Dopiero wówczas słowo zgoda nabierze treści bogatszych niż upragniony przez nas spokój i ład, dopiero wówczas będzie to zgoda na coś i w imię czegoś, nie będzie ona rezygnacją i biernością, będzie natomiast dobrowolną, nową umową społeczną, na współdziałanie całego społeczeństwa na rzecz określonych celów. Wierzę, że taka droga do zgody wyzwoli olbrzymie pokłady ludzkiej energii, talentów, dobrej woli i pracowitości, przyniesie nam pokój i dobro.

Jakież to prace przed nami? Świadomość ta właśnie formułuje pytanie, by nie dać się zaprowadzić na manowce, w które popada literalne pojmowanie słowa odnowa. Nie „odnawiać” trzeba demokrację socjalistyczną, lecz podjąć jej budowę w miejscu, w którym już dawno zarzucał się do dzieła. Ogół prac stojących przed nami tak właśnie powinien być nazwany — budowanie demokracji socjalistycznej.

Podstawą tej demokracji musi być Sejm,

autentyczna reprezentacja całego narodu, zdolna do podejmowania ostatecznych, wiążących rząd, administrację państwową, decyzji dotyczących gospodarki, polityki zewnętrznej i wewnętrznej, kultury i oświaty — wszystkich podstawowych dziedzin życia Polaków. Sejm musi się stać instytucją zdolną także do ciągłego kontrolowania sposobów jakie stosuje rząd w toku realizowania wskazanych mu celów działania. Musi wreszcie bronić swej powagi i kompetencji, nie dopuszczając do tego, by rozporządzenia władzy wykonawczej godziły w decyzje Sejmu. Bez takiego Sejmu nie do pomysłenia jest suwerenność narodu wobec swej własnej politycznej formy, swego politycznego aparatu.

Sejm jest bezsilny, traci możliwość wypełniania swej misji, jeśli nie ma oparcia w mocnych organach samorządu terytorialnego,

w radach narodowych gminy, dzielnicy, miasta i województwa. Samorząd terytorialny władny wypełnić swe zadania musi dysponować czterema najmniej właściwościami: Wznieć być rzeczywistą reprezentacją wyborców. Musi przed nimi odpowiadać za podejmowane decyzje i sposób wypełniania innych funkcji. Powinien mieć możliwość kontrolowania terenowych władz administracyjnych. Musi być wreszcie wyposażony w podstawy ekonomiczne. Jako prawdziwy gospodarz — samorząd terytorialny — musi posiadać uprawnienia umożliwiające mu wygosparowywanie środków ekonomicznych, zachowanie ich do własnej dyspozycji, nieskrepowane decydowanie o ich przeznaczeniu.

Wiemy, że konieczna jest reforma gospodarki i zarządzania nią. Co to jednak ma wspólnego ze zgodą narodową i budowaniem demokracji socjalistycznej? Czy rzeczywiście idzie tylko o to, by więcej produkować i wydajniej pracować? Czy wystarczy czekać aż specjaliści od zarządzania gospodarką zbilansują potrzeby i możliwości ekonomiczne?

Nie ludźmy się, to nie jest tylko praca dla tych „u góry”. Nie o to chodzi, by w miejsce parnastu ministerstw było parę, w miejsce nakazów i wskazyńców — parametry (iluzj budowniczym w końcu wie, co to takiego). Nie wystarczy także dodanie do tego planu oszczędności, czy też podjęcie decyzji o zaprzestaniu iluz inwestycji, a kontynuowaniu innych. Środki produkcyjne,

zakłady pracy muszą być w wyniku tej reformy prawdziwie USPOŁECZNIONE, a nie tylko UPANSTWOWIONE.

Obywatel, człowiek pracy musi być rzeczywistym gospodarzem swego zakładu pracy. Nie osiągniemy tego na drodze nawoływania, jakże znanych i nieskutecznych — „stojcie przy swoich warsztatach pracy, odpowiedzialnie i dobrze pracujcie — a my za was pomyślimy o reszcie”. Człowiek pracy musi mieć możliwość po-

Warszawa, 15 grudnia 1980 roku. Godzina 10. Otwarte posiedzenie Wydziału Dyscypliny Polskiego Związku Piłki Nożnej. Otwiera je przewodniczący Wydziału płk Stefan Bonbu, który mówi m. in.: *„Dzisiaj kontynuować będziemy postępowanie wyjaśniające w sprawie zająć, jakie miały miejsce w dniu 29 XI. w ekipie piłkarskiej wyjeżdżającej na obóz przygotowawczy do Włoch i na spotkanie na Malcie.*

Oto fakty,

które ustalono w sposób bezsporny. 28 XI zarządzone zgrupowanie reprezentacji przed wyjazdem do Włoch. Do godz. 14 piłkarze — z wyjątkiem zawodników Widzewa — zjawili się w hotelu „Wera”. O godz. 18 rozpoczęła się odprawa zawodników z kierownictwem ekipy, w jej trakcie przybyli kadrowicze z Widzewa. Następnie wspólnie zjedzono kolację. Ok. godz. 24 J. Młynarczyk wspólnie z Wł. Smolarkiem opuścili hotel, udając się w towarzystwie dwóch Libijczyków na kolację do lokalu „Adria”. Po ok. półrocznej godzinie Smolarek wrócił do hotelu, natomiast Młynarczyk — przeszedł do baru, gdzie spotkał red. W. Zielińskiego (TV). Wg relacji tego ostatniego w barze pił szampa. Następnie Młynarczyk i Zieliński, „zahaczając” o hotel „Wera”, udali się do mieszkania Zielińskiego. Tam wypili dwie butelki piwa i przed godz. 7 Młynarczyk zjawiał się w hotelu.

Wracamy

na salę posiedzeń. Przewodniczący odczytuje oświadczenie wiceprezesa PZPN Zbigniewa Należytygo.

...o godz. 7 pojechaliśmy na lotnisko. Tam dowiedziałem się, że drużyna stawia sprawę alternatywnie — albo jedzie cała drużyna, albo też nikt. Uznałem to za szalenstwo i wkroczyłem w sprawę. Zaczęłem od rozmowy z kapitanem Zmudą. Powiedziałem mu, że trzeba się porządnie zastanowić nad decyzją trenera Kuleszy. Wówczas odpowiedział Zmuda zaskakująco: „Niech pan mnie nie obrażaj”. Wycofałem się do kierownictwa. Teraz wróciłem do akcji Kalliska, podejmując dialog z drużyną, rozmawia z 5 minut i odchodzi z kwitkiem. Później poszedłem do mnie Kulesza i powiedział, że po rozmowie z psychologiem zmienił decyzję i postanowił, by Młynarczyk jechał.

PYTANIE: Jeśli ekipa odlatuje rano — czy członkowie kierownictwa nie powinni być razem z drużyną, spać w hotelu?

— Jest taka tradycja, że szef ekipy zjawia się na lotnisko, ja mam zwyczaj dzień wcześniej spotykać się z drużyną. Ale stale kierownictwo powinno być na miejscu.

• Ale nie było?

— Kulesza, o ile wiem, pojechał do domu, bo czekał na połączenie telefoniczne z Łatą. Oświadczenie red. Bogdana Chruścińskiego (nieobecny na sali z powodu choroby):

...Gdy przyjeżdżałem na lotnisko nie było nikogo. Pierwszy ok. godz. 7 przyjechał Kulesza. Kulesza oświadczył mi, iż pół godziny temu dowiedział się, że Młynarczyk się upił i zostawia go w domu, a w zamian ma pojechać Kostrzewa. Potem przyjechał pan Należyty, a o 7.20 ekipa. Młynarczyk stał z przekwionymi oczami, widać było po nim, że nie przespał całej nocy. Nie powiem, że się zataczał. Kulesza podszedł

SĄD NAD PIŁKĄ

do Młynarczyka, jak sądzi poinformował go o decyzji wykluczenia z ekipy. Młynarczyk spokojnie tego słuchał. Kiedy Kulesza skończył rozmowę z Młynarczykiem, podszedł do niego Zmuda i Boniek. Po tej rozmowie, której ja nie słyszałem, Kulesza przyszedł do nas i powiedział: „oni żądają, aby Młynarczyk leciał”. Chyba Lisiewicz powiedział, że to jest niemożliwe. Kulesza to potwierdził. Ponownie wrócił do Bonika i Zmudy. Nie wiem o czym oni rozmawiali. Po chwili podszedł do nich Terlecki. Później Kulesza wrócił bardzo zdenerwowany. Powiedział do nas, że jeśli nie pojedzie Młynarczyk, to również nie pojedzie cała drużyna. Reakcja kierownictwa ekipy była dość charakterystyczna. Należyty: To nie lecimy! Blaut: To jest największy skandal w historii reprezentacji i trzeba wreszcie z tym skończyć. Lisiewicz: W tej sytuacji nie powinniśmy lecieć. Kalliski: Co to będzie, przecież będziemy musieli zapłacić 80 tys. dolarów odszkodowania.

Kulesza ponownie podszedł do zawodników. Rozmawiał z Bonikiem i Zmudą. Kiedy wrócił Blaut powiedział do niego „chujba Rysiek nie ustąpi i nie polejemy na Malcie”. Kulesza potwierdził.

Boniek, który słyszał wypowiedzi Blauta, zbliżył się energicznie do niego i powiedział: „Niech pan nie buntuje trenera”. Podszedł ktoś z personelu LOT-u i powiedział, że już trzeba się zdecydować. W tym momencie zrobiła się pustka. Kulesza został jakby sam. I wszyscy czekali aż on podejmie decyzję. Kulesza powiedział, że Młynarczyk poleci.

Oświadczenie to potwierdza red. Jacek Gućwa.

Mówi kierownik drużyny Roman Lisiewicz:

...W sobotę 29.11. ok. godz. 5.05—5.10 zbudziła mnie recepcjonistka. Oświadczyła, że przed paroma minutami do hotelu wrócił Młynarczyk z Zielińskim, obaj są w stanie nietrzeźwym, wyszli przed hotel i czekają na taksówkę. Zszedłem na dół i widzę, że przed hotelem na krawężniku siedzą Młynarczyk i Zieliński. Mówię do Młynarczyka: „Józku, chodź na górę”, a Młynarczyk na to: „Muszę odwiedzić redaktora”. Czulem, że sam nie dam sobie rady. Poszedłem na górę po Smolarkę, jak ściągałem winę, to Młynarczyk z Zielińskim odjechali. Więc nie poszedłem już do Smolarka. Zadzwoniłem do Kuleszy i powiadomiłem go o wydarzeniu. Decyzja Kuleszy była krótka: Młynarczyk nie jedzie, zostaje w kraju. Zawiadomiłem o tym Garlickiego i Blauta — wszyscy się z tym zgodzili.

Rano w trakcie śniadania tuż przed siódmą zjawiał się Młynarczyk. Wziąłem go na bok i przekazałem decyzję trenera, że nie jedzie do Włoch. Zawodnicy zaczęli wsiadać do autobusu, nie było tylko Bonika, Terleckiego i Zmudy. Usłyszałem: „bez Młynarczyka nie jedziemy”. Trener Blaut wszedł do autobusu i wyjaśnił piłkarzom dlaczego Młynarczyk pozostaje w kraju. Terlecki powiedział wówczas do Bonika i Zmudy: „Jedźcie na lotnisko, ja przywożę Młynarczyka swoim woze-”

PYTANIE: Czy pan wiedział, że oprócz Młynarczyka jeszcze jeden piłkarz poszedł w nocy do lokalu?

— Dowiedziałem się dopiero o tym czynnie od red. Trzczeńskiego,

ZNAMY — KULISY NADAL NIE!



to był szantaż! W takiej sytuacji jeszcze nigdy nie byłym. Trener Ryszard Kulesza: „Na lotnisku podszedł do mnie Zmuda i Młynarczyk prosząc o ewentualną zmianę decyzji. Argumentowali to tym, że Młynarczyk ma poważne problemy rodzinne... Grupa zawodników stała na boku. Był to, moim zdaniem, opór wewnętrzny. Ja tego nie nazywam strajkiem. „Zawodnicy otoczyli mnie ciasnym pierścieniem, prosząc, żebym zmienił decyzję, że chodzi o ratowanie człowieka, a dalsze sankcje można wyciągnąć później. Nie powiem, że od razu się godziłem, ale w wyniku ich — powiedziałbym — prób czy czegoś w tym rodzaju postanowiłem zmienić decyzję, bo było bardzo mało czasu na wyjaśnienie całej sprawy. Gdyby to było dzisiaj, po 15 dniach.

postąpiłbym podobnie.

Biorąc pod uwagę wysiłek jaki włożono — uważałem, że jest to sprawa nadrzędna, wyższa, że jedną taką sprawą, nawet przykra, nie można przekreślać dwuletniej pracy.

• Czy pan zna treść przytoczonego z panem wywiadu w „Standardzie Młodych” z 1 grudnia? W rozmowie telefonicznej miał pan oznajmić tu cytuję „że zawodnicy próbowali użyć w stosunku do mnie metody formalnego szantażu”.

• Kto to podpisał?

• Redaktor Cieśliński. Głos z sali: podpisał redaktor Starzyński, ale ja rozmawiałem z trenerem Kuleszą na ten temat. Kulesza: ja mówiłem o szantażu? Cieśliński: Tak! Kulesza: To ciekawe. (Potem red. Cieśliński złożył w tej sprawie zeznanie i podtrzymał twierdzenie o szantażu.)

• Zmienił pan pierwotną decyzję. Z kim pan ją konsultował?

— Tylko z psychologiem. Na pytania odpowiada sekretarz generalny PZPN Zbigniew Kalliski.

• Zawodnicy prośli czy było to ultimatum?

— Nikt tam na mnie nie naskakiwał, nikt na mnie nie krzyczał. Chciano, aby Młynarczyk został włączony do ekipy.

• A jeśli nie?

— No to, wynikało z tego,

nie polecę.

W blisko półgodzinnym wystąpieniu psycholog reprezentacji doc. Marek Piłkiewicz mówi m. in.: Decyzja o pozostawieniu w kraju Młynarczyka nie uwzględniała wszystkich czynników, które spowodowały jego zachowanie. Był on ostatnio w silnej depresji i na dobrą sprawę nie powinien w ogóle być powoływany do kadry na mecz z Maltą. Zawodnicy czuli, że pierwsza decyzja Kuleszy była nieludzka, miała się z ich poczuciem sprawiedliwości i dlatego wywołała ich

(CIĄG DALSZY NA STR. 6)

ZGODA — jedno winna mieć imię!

(CIĄG DALSZY ZE STR. 3)

2843 osoby. Zatrzymano w areszcie podejrzanych o grabież, czynną napaść, podpalenie i nielegalne posiadanie broni. Wród zatrzymanych 1990 osób stanowiła młodzież do lat 25. (Z artykułu M. F. Rakowskiego w „Polityce”)

Opowieści W. Grudnia c.d.

Aha, jak było dalej wtedy w grudniu... W pewnej chwili uderzyła w nas wiadomość niczym grom. Aresztowano naszych delegatów. Proklamowany został na dzień następny strajk powszechny. Wieczorem tego dnia stała się jeszcze inna niedobra rzecz: grupy wandalów zaczęły wybijać szyby wystawowe w sklepach, rabować towary i podpalać pojazdy. Natychmiast zaczęto mówić, że nasze robotnicze wystąpienia są wyłącznie chuligańskimi wybrzykami, z którymi należy zdecydowanie się rozprawić.

W nocy nie mogłem zasnąć. Z lekkim myśleniem o następnym dniu — o wotku. Rano w szpitalu już wszyscy wiedzieli o aresztowaniu przywódców strajku.

Wróciłem do stołeczki na swój wydział i dowiedziałem się, że władze wprowadziły godzinę polityczną. Aresztowani nie wrócili do więzienia. Postanowiono, żeby w tej sytuacji wszyscy, z wyjątkiem delegatów (mieliśmy już nowych), opuścili stołeczki. Kiedy wyszedłem za brama, nad głową usłyszałem warkot helikoptera i wtedy poczułem, że w prawym ramieniu zrobiło mi się gorąco. Kolega natychmiast rozpiął mi marynarkę i zobaczył, że mam zakrwawioną koszulę. Znalazłem się w stołeczce przychodni, a doktor Chmielnikowski powiedział: bly-

skawicznie, na syrenie, na chirurgię do Akademii Medycznej! Leżał już tam wcześniej ranni robotnicy, a także milicjanci.

Po dwóch godzinach było już po operacji. I tak miał pan dużo szczęścia — powiedział mi potem lekarz. — Gdyby pocisk zszedł do słowianki o milimetry — trafiłby w tchawicę i wtedy straciłby pan pios.

Oglądam przechowywany przez Grudnią przestrzelony płaszcz na prawym ramieniu, koszulę — ale już zacerowaną w miejscu przebita — no i sam pocisk wyjęty w czasie operacji z jego ramienia.

W szpitalu nikt z lekarzy nie zdradził nikomu, że jestem postrzelony. Były bowiem obawy przed zabraniem takich jak ja do więzienia. W płatek (18 grudnia) — jak tylko poczułem się trochę lepiej — syn i córka zabrali mnie ze szpitala. Syn, który jest kierowcą, wjechał na teren szpitala pod pozorem przywiezienia węgla. Stamtąd udaliśmy się szybko na stację do olsztyńskiego pociągu, którym pojechaliśmy do rodziny w Lidzbarku. Tam doczekałem do zmiany rządu.

Potem cały czas ufałem Gierkowi — nawet jeszcze wtedy, gdy znów zaczęło się źle dziać. Myśmymu jednak powiedzieli, że pomożemy. Było to robotnicze słowo. Dlatego nawet o pomniku dla poległych nie upominaliśmy się tak bardzo i tych z Radomia nie poparliśmy. Aż do czasu, gdy już nie można było wytrzymać.

Anons

Wanda Helle mieszka w Gdańsku przy ul. Podwale Staromiejskie. Ludzie wskazują mi zaplecze sklepu, gdzie pracuje. Leży tam mnóstwo sztucznych bów, słoiczki, ceramika, różności. Pani Helle wita się serdecznym gestem. Jak spędziła Wigilię? O — mówi — to jest najsmutniejsza rozmowa, jaka może być, ale dobrze, zaraz wrócę, napiszę tylko, że sklep zamknięty — obcasy stukają po posadzce.

Odwraca się jeszcze w drzwiach: a może do mieszkania pojeździć?

Mieszkanie jest na górze, schody dość strome. Pani Helle jest zdyszana. Mój mąż był cały tydzień w Łodzi — wyrzuca z siebie pierwsze idenie. — W poniedziałek zadzwonił: Co

tam u was słychać? A już stołeczniacy chodzili po Gdańsku. Powiedziałam, bo akurat ktoś był w sklepie, że wszyscy w porządku. To była nasza ostatnia rozmowa.

Przyjechał z Łodzi i z tego pociągu ich czterech zginęło. Ogłaszałem do prasy, żeby ktoś mi opowiedział, jak było, ale nie chcieli przyjąć ogłoszenia.

Dopiero 23 stycznia udało się w „Dzienniku Bałtyckim” umieścić aluzyjny tekst: „Poszukiwaj świadków zaślubienia (które stało się przy czynnej śmierci) mojego męża Mariana Helle, lat 69, który przybył do Gdańska pociągiem relacji Łódź Kalliska — Gdańsk Główny między godz. 21 a 22 dnia 15 grudnia”.

Drugie ogłoszenie ukazało się 16 marca, również w „Dzienniku Bałtyckim”: „Osoby mogące udzielić informacji o okolicznościach ostatnich chwil życia mojego męża (starszy, siwy pan), który przybył na dworzec...”

Dodałem mi ze wszystkich stron, abym tyjechała z Gdańska. Ale ja jestem twardy człowiek.

Delegat z S-5

Edward Nowicki — monter i spawacz w jednej osobie, pracuje w Stołeczce Gdańskiej od stycznia 1949 roku.

— W 1970 roku — wspomina Nowicki — najbardziej zabolalo i oburzyło mnie to, że aktywny partyjny stołeczki w naszym imieniu zgodził się, że to właśnie my, stołeczniacy, mamy wyrazić na cały kraj poparcie i zrozumienie dla decyzji o podwyższeniu cen. I to właśnie stało się bezpośrednio przyczyną strajku.

Zostałem wtedy wybrany delegatem wydziału S-5 i wszedłem w skład Komitetu Strajkowego. Jako przedstawiciel naszego wydziału brałem także udział w spotkaniu z Gierkiem, gdy po objęciu funkcji I sekretarza KC przyjechał do nas na Wybrzeże. Spotkanie to wzbudziło w nas entuzjazm, rozeszliśmy się pełni najlepszych nadziei. Zaraz na drugi dzień wzięliśmy się ostro do roboty.

Dla mnie nadzieja ta miała trwać jednak tylko rok. Niemal dokładnie w rok po spotkaniu z

(CIĄG DALSZY NA STR. 9)

W 10 LAT



„VIVOS VOVO”

m ó w i

KATEDRA WAWELSKA

Tak często piszemy o zamku królewskim na Wawelu — tak rzadko piszemy o Katedrze. A przecież ona zachowała mimo wszystkie burze dziejowe najwięcej zabytków, świadectw polskiej przeszłości. Przecież ona tkwi we współczesnej świadomości każdego Polaka, niezależnie od jego światopoglądu, wyznania, postawy politycznej. Już wiem, dlaczego tak cicho o tym kościele! Po prostu on istnieje w nas wszystkich, jest pewną oczywistością polskiej kultury duchowej i na ogół nie potrzebuje gromkich nawiązań do pamięci, do uprawiania kultu. Do reszty, jeśli ktoś tak pisał o Wawelu, jak Wyspiański w „Akropolis” i „Wyzwoleniu”, w rozprawie na powtórną prośbę Kazimierza Wielkiego — wszystkie inne słowa wydają się wyblakłe.

Są jednak takie wydarzenia historyczne, które uprawomocniają bicie dzwonu Zygmunta. Wydarzenia ostatnich miesięcy i zapowiedziana transmisja pasterki z Katedry Królewskiej na Wawelu uczyniły potrzebę pilniejszej, serdeczniejszej informacji o tym dziwnym miejscu polskim, w którym spotykały się zawsze pokolenia Polaków. Rzeczywiście jest to punkt na mapie historycznej naszego kraju niezwykły. Zapis dziejowy łączy się tu wyraźnie z dwoma starymi budynkami, których resztki stoją jeszcze i dumnie opierają się czasowi. Rotunda św. Feliksa i Adalakta, która chroniona jest dawnymi murami kuchni królewskich, często nazywana jest najstarszym polskim kościołem. W roku 1039 jednakoż nieładnie szwedzi zniszczyli katedrę Bolesława Chrobrego; jeden cały świątyni przetrwał, kilka bez tych świątyni oraz kolumn w ołtarzu. Resztki bocznych murów, fundamenty filarów miedzynawowych. Ale ta wspaniała misecznica, dawnych stulów architektonicznych, jaka zawiera niewielki i gruncie rzeczy kościół koronacyjny królów polskich, nascentie historia, wprost burza dziejowych wydarzeń, jaka ogarniała katedrę, który się znajduje na Wawelu Wawelskim białe tu i starożytności romańskich i preromańskich obiektów. Katedra nosi imię Chrystusa Zbawiciela i św. Wacława. W jej fundamentach i murach wylądowały spod ziemi tkwi jeszcze wiele cudownych elementów z połowy XII wieku, kiedy founder owego obiektu Władysław Herman podjął decyzję o wzniesieniu owej świątyni. Trzeci katedrę, to która oglądamy do dziś we wspaniałej okazałości

wznosił Kazimierz Wielki — ostatni polski Piast. Oczywiście, nie ma nic gorszego, niż próba pisania przewodnika po tak znamienitym obiekcie, jakim jest ów kościół. Przemierzając jego nawy ksiądz Fuglewicz — tak, ten sam, któremu Niemcy pozwalali w czasie okupacji raz na tydzień odprawiać mszę. Duchowny mógł to czynić pilnowany przez jakichś strasznych wachmistrzów. Jeśli więc stajemy przed surowym obliczem króla Władysława Jagiełły, to zawsze nam się przypomina ta niedawna historia, kiedy na Świętej Górze Polaków rządził się wielkorządca Generalnej Guberni i morderca z tytułem doktora praw. Piękne drzwi wiodące do tej świątyni zna cała Polska. Żelazne okucia w formie plaskiej kraty mieszczą rytmicznie ułożone litery „KV” z nakryciem koronnym. Jest to monogram Kazimierza Piasta. Telewizyjna planzja Krakowa wykorzystuje ten element jako hasło wywoławcze.

Na tak skromnej przestrzeni dzieje nasze nagromadziły nieprawdopodobnie bogatą kolekcję, powstała przecież nie z zamiaru lecz z potrzeby duchowej, narodowej, konfesyjnej! Mauzoleum św. Stanisława — srebrna trumna podtrzymywana przez czterech aniołów. Brazowy złocony baldachim i posąg również powstały w wieku XVII. Nagrobek królowej Jadwigi — duża, Madejskiego rzecz nowa w wymlarze blisko tysiącletnich dzieł obiektów sakralnych na Wawelu. Marmur karraryjski, uduchowiona twarz królowej i złożone ręce. Naprzeciw czerwien rzeźb Kaplicy Zygmuntońskiej. Nosi ona nazwę Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Dawniej nazywano ją Królewską, Rorantystów, Jagiellońską. Rzeźby nagrobne (chcąc grobów tu nie ma) Zygmunta Starożytnego, Zygmunta Augusta, Anny Jagiellońskiej. Przypomnijmy, że na zworniku latarni tej Kaplicy główka anioła otoczona jest pierścieniem gładkiej listwy z napisem: „Bartholo Florentino Opifice” — „Bartolomieju Florentyńczyku — twórcą”.

Zaraz po prawej stronie u wejścia do Katedry zachwycą nas Kaplica Świętokrzyska. Dosłownie nie wiadomo, co w niej jest ważniejsze — czy to piękne gotyckie sklepienie, malowane na wzór bizantyjski przez sprowadzonych przez króla malarzy ruskich, czy posąg Piotra Kmitę młodszego, tuż przy wejściu do Katedry w niszy umieszczony, czy przedziwna rzeźba — budowla — sarkofag (XVIII wiek) biskupa

Kajetana Sołtyka, przedstawiającego orła z mieczem w dziobie wyrwującego się z trumny. Znawcy twierdzą, że niszczy to nastrój owej pięknej kaplicy. Rzeczywiście, najmniej widoczny tutaj jest obiekt najpiękniejszy: grobowiec Kazimierza Jagiellończyka — wielkiego króla i ojca królów.

Oddajmy głos Władysławowi J. Dobrowolskiemu, który tak pisze o tym grobowcu wyrzeźbionym przez Witę Stwosza w roku 1492: „Kompozycyjnie i technicznie jest to dzieło wyjątkowej wartości. W nagrobku tym uderza nas przede wszystkim technika snycerska. Głębokie i śmiało cieni, subtelne i drobniagawe odtworzenie korony i berła są objawem zdolności zlotniczych i rytowniczych Stwosza.”

A potem z nawy bocznej prawej wchodzi do Kaplicy Potockich, dawniej pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny, przebudowanej w XVI w. przez Jana Michałowicza z Urzędowa, kolejni do Kaplicy Szafrarów albo Doktorów pod wezwaniem św. Szczepana. Tu m. in. znajduje się grób Macieja Mlechowity — znakomitego historyka. Miejsce to jest średnią kondygnacją Wieży Srebrnych Dzwonów. Na gruzach kaplicy gotyckiej z XV w. powstała Kaplica Wazów — barokowa, w czarnych marmurach.

Skrupulatny miłośnik Katedry Wawelskiej oczywiście musi odnotować, że w nawie głównej, pod ołtarzem znajdowało się miejsce koronacyjne królów polskich. Ponadto do wejścia prawego jakiś XVII-wieczny żartowniś wyrzył na marmurze pińczowskim swoje nazwisko. Pozostawiamy to badaczom obyczajów. Interesują nas dwa sarkofagi królewskie — stary, nieco przekuty w wieku XIX Władysława Łokietka i czerny z dostojną postacią Kazimierza Wielkiego, założyciela Katedry i Akademii. Pod Czarnym Chrystusem modliła się ponoć królowa Jadwiga i Sobieski zawiesił złote strzemie. Nieco wstydliwie, na zapleczu ołtarza głównego widnieją pomniki rodzinne Jana III, Marii Kazimierzy, Michała Korybuta Wiśniowieckiego i jego żony Eleonory. Pod tymi portretami medalionowymi jeżą w wieżach niewolniczych Turcy. Jest to późna, XVIII-wieczna robota, nieco zgrzytliwie asiadająca z gotykami, renesansem, barokiem.

Między Kaplicę biskupa Załuskiego, Kaplicę Tomickiego pod wezwaniem Trzech Królów albo św. Tomasza Kantuarijskiego (przebudowaną przez Bartłomieja Bereckiego, twórcę Kaplicy Zygmuntońskiej), Kaplicę Mariacką,

gdzie Anna Jagiellonka wystawiła pomnik płaskorzeźbowy Stefanowi Batoremu, Kaplicę Garmrata, gdzie pomnik fundatora wyrzeźbił Jan Maria Padovano... Trakt kaplic Kosmy i Damiana (Zebrzydowskich), św. Wawrzyńca, św. św. Mateusza i Macieja, Maciejowskich albo Matki Boskiej Snieżnej, Meki Pańskiej, Czartoryskich (zle przebudowana w XIX wieku), krypta z grobowcami Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego... Jak dwa na krańcach swych przeciwne bogi... Kraków położył w jednej krypcie dwóch największych polskich poetów. Kiedy Słowackiego chowano, Piłsudski słuszenie powiedział, rozkazując oficerom zanieść trumnę między królów, bo królom był równy.

Imiona świętych, nazwiska mojących wiązły się często z przebudową nie zawsze najszczęśliwszą dla kaplic wawelskich, wyjąwszy przypadki, kiedy sławiano rzeźbę Thorvaldsena, kiedy ród królewski chował swych dostojnych synów.

Z arrasów przywróconych niedawno Katedrze spływa na nas historia starożytna i wydarzenia legendarne. W podziemiach, których zwiedzanie zaczynamy zawsze od krypty św. Leonarda, przepięknej, czystej linii budowli romańskiej pochowani są Jan III Sobieski, jego żona Maria Kazimiera, książę Józef Poniatowski, Michał Korybut Wiśniowiecki. Jednym tchem po tych nazwiskach każdy Polak powie — Wiedeń, Racławice, Lipsk i upomnienie się o wykonanie warunków pokoju andruszowskiego...

Razem ze zwiedzającymi Wawel Węgrami składamy kwiaty u sarkofagu króla Stefana Batorego, chylimy głowy, choć nie zawsze z szacunkiem przed sarkofagami niektórych Wazów, podziwiamy zrekonstruowaną prostotę linii grobowca Zygmunta Starożytnego. Tak — Piłsudskiego też odwiedzamy z szacunkiem.

I gdzie tu współczesność? Czy tkwi ona tylko w umiłowaniu pamięci ludzka, skoro jednakową trwałością chce obdarować i dobrych i złych królów. Dzwon Zygmunta bije zgodnie z zawołaniem umieszczonym zawsze na dawnych dzwonach kościelnych: „Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango” — „Żywych wołam, zmarłych płaczę, gromy kruszę”. Historii i dobrej i złej z punktu widzenia zadań współczesności nie da się z ludzkiej pamięci wyrzucić. To nie tylko dzwon wawelski woła do żywych, to cała Katedra wzywa nas do czujnej pamięci przeszłości.

IAN KACZMAREK

WIESŁAW KOLARZ

PASTORAŁKI

Na zgodę

Weźmy tę zimę niczym chleb
do ręki
lammy się zimą
na wierność na zgodę
niechaj się zbiegną
aniołowie śnieżni
chuchać na iskrę
która tli się w dłoniach

Teraz jesteśmy znów
sobie potrzebni
zapala się wigilia
kolorową gwiazdą
i jak wielka choinka
gra światłami miasto

Patrzmy sobie w oczy
Dzielimy się słowem

Noc wigilijna

Zawiane drogi
poznasz przecież
czerwoną pyskiem
węsząc ślad
wiatr ci rozdmucha
iskry oczu
mróz szorstką łapą
grzbiet pogłodzi
w tę noc po ludzku
będziesz wyl
do zamrożonej
w rzece gwiazdy
na wążach lasu
sople dzwonią
kantyczki wiatru
mrok kołysz

w skrzypiące wnyki
wpada zima
i marznie sennie
w zaspach ciszy

podejdz pod okno
wilczy cieniu
przetniemy nożem
chleb na krzyż
zmyjemy wodą
ziarno zwady
uwierające nas
przez rok
podejdz pod drzwi
z jemiolą mrozu
i w śniegu utop
wilczą złość

Jeszcze kołęda

Jeszcze kołęda żrebi się w obłokach
gwiazda nadziei płacze się po niebie
chcemy odnaleźć wśród najprostszych
słów
i wśród splątanych dróg okrucy siebie
W rozartych ustach dym skostniałych
zakleć
— ileż nam śpiewać i mówić przystoi...

Klekocą w słojach drzew prześlone
baśnie
kwilą korniki pod pierzyną kory
Wszystko w muzykę ucieka, w zmyślenie
Dzień w drzwiach przystaje jak zbłąkany
pasterz.
Coś się zdarzyło. Udane milczenie
jak ptak zawisła nad zgarbionym
miastem.

RODZI SIĘ NADZIEJA

Po bezbarwnych dniach maligny
po zastojach chudych lat
rodzi, rodzi się nadzieja.
Tak jej bardzo było brak!
To dopiero pierwszy promyk,
to dopiero pierwszy brzask,
lecz już świeci, lecz już grzeje,
już powoli miesza w nas.
Ostry klimat jej nie służy,
gubi ją obłędny strach,
jawnie się jej nie holubi,
raczej skrycie, w cichych snach.
W snach o rajy i potędze
snów się nie potrzeba bać,
bo gdy cicha nocka przejdzie
beznadziejna znów i kac.
Przegrywalimy ją nieraz
talią wyświechtanych kart,

utopiliśmy ją w bimbrze
górnolotnie brzmących kłamstw.
Przyduśliśmy ją głazem
czczych, fundamentalnych prawd,
zagaluzzyliśmy ją spazmem
bezasadnych, gromkich braw.
Po bezbarwnych dniach maligny,
po zastojach chudych lat
znowu rodzi się nadzieja.
Kto ją czuje — ten nasz brat.
Jest nadzieja Matką — Polką,
może minął już ten czas,
że zostanie matką głupich
których już z kolei raz?

Piosenka wykonywana przez Jana Kaczmarek
w radiowym programie „60 minut na godzinę”.
Tekst spisany z taśmy magnetofonowej, tytuł i
interpunkcja — od redakcji.

Nie. Nie czuję się wysadzony z siódła. Po prostu przeskoczyłem na innego konia. Po ras czwartą. Tak: po raz czwartą...

Ekonomię studiowałem z zamiłowaniem, ale już dawno nie uprawiam zawodu ekonomisty. Studiowałem w Wydziale Ekonomiki i organizacji produkcji przemysłu maszynowego, w sekcji budowy maszyn w Wyższej Szkole Ekonomicznej i już w pierwszej pracy przestałem być ekonomistą. Od razu rozpocząłem pracę w dziale organizacji produkcji. Potem obszedłem wszystkie pozostałe działy — głównego technologa, metalurga, głównego mechanika. Nigdy nie pracowałem w dziale ekonomiczno-finansowym, czy też w planowaniu. Jestem raczej z interdyscyplinarnego kierunku.

Mając 28 lat zostałem dyrektorem naczelnym. Że tak szybko awans? Byłem dobry. Zwyczajnie. Byłem dobry. W pierwszej pracy już po dwóch latach byłem zastępcą przewodniczącego Rady Robotniczej. Bardzo szybko, prawda... bez żadnych pocłotków, kolidacji...

W dziale produkcji pracowałem nas szczęście. Przymiłowaliśmy zamówienia, opracowywaliśmy produkcję, lokowaliśmy ją na wydziałach. Było nas szczęście, a zostało dwóch. Kolega robił dalej swoje, a ja wziąłem robotę tych czterech, którzy odeszli. Po trzech miesiącach zaproponowano mi inną robotę. Znowu rąbałem za trzech, za czterech. Całe życie pracowałem bardzo ciężko.

Teraz się cieszą z mojego odejścia z poprzedniego miejsca pracy, bo wreszcie widzą, że ten koń, siódło tego konia, wcale nie było takie idealne. Mniejszą nakładem pracy ludzie mają o wiele lepiej w Polsce. W Polsce nie trzeba pracować za wiele... Ale ja nie potrafię być bez pracy. Teraz jestem zastępcą dyrektora i bardzo uczucie pracuję. Mam dalej ogromny zakres zajęć. Co jest nowe, to biorę. Są ludzie, którzy lubią odpoczywać, są tacy, którzy lubią pracować. Ja należę do tych drugich. Bardzo lubię pracować. Nie narzekam.

Zrobiłem doktorat z organizacji. Jestem zastępcą dyrektora ośrodka badawczo-rozwojowego. Wykładam organizację i zarządzanie w politechnice. A to, co udało mi się stworzyć w nowej pracy, w „obeerze” to jest pewien model, uważam, że bardzo ciekawy model, który w zapleczu naukowo-badawczym nie występuje.

W ośrodku, w którym pracuję jest pięćset ludzi. W poprzedniej pracy kierowałem dwunastoma tysiącami. Ale ta nowa praca ma inną specyfikę. Jest czas na zysytywizowanie tego, co się w ogromnym przedsiębiorstwie robiło, zebrać doświadczenia, przewartościowanie ich... Może ktoś inny kiedyś z tego skorzysta...

Kiedy przychodziłem do tamtego zakładu powiedziałem sobie — przetrwać. Chodziło o przetrwanie początków. Potem człowiek oswoja się ze stanowiskiem, potem rodzą się koncepcje, rodzą się ambicje. A gdy one się zrodzą wyłania się chęć ich realizacji, a to już zawsze pozostaje w pewnym konflikcie z kimś. Przetrwać, zmieniać się w działaniu i gdyby tylko liczył na słowo przetrwać, to bym trwał. Jest to kwestia konformizmu, w szerokim tego słowa znaczeniu. Na stanowisku dyrektora można trwać, za jego utrzymanie można się kłaniać. Takie postępowanie jest nawet lepiej odczytywane.

Byłem siódmym dyrektorem w tamtej firmie. Zalałem średnią, bo byłem tu dziewięć lat, a historia tej branży w Polsce ma dwadzieścia pięć lat. Nie zostałem wyłoniony, bo napisałem prośbę o odwołanie. Gdybym nie napisał podania, być może, że nikt nie starałby się mnie kopać... Są różne techniki. Mój poprzednik miał głośne końce. Odszedłem zwyczajnie, chociaż nie widzę w moim przypadku dopełnienia człowieka. To nie było za bardzo etyczne. Odszedłem, a w dwadzieścia lat później zakład dostał Sztafeta Pracy. Ja miałem dostać Krzyż Oficerski. Dostałem w grudniu... Byłem siódmym dyrektorem. To jest niebagatelne, że podwoili produkcję bez nakładów inwestycyjnych. I to nie o tysiąc, czy sto tysięcy ton. Tylko o półtora miliona ton... I więcej nawet. Dałem siedemdziesiąt pięć procent produkcji tego surowca.

Ala jak nie spojrzeć na historię, to nie wolno w naszych warunkach, zwłaszcza jak się pełni takie funkcje, wierzyć, że się jest do końca dyrektorem, który tylko chodzi z tym stołkiem do komitetu, do komendy wojewódzkiej. Tu z milionem wypić, tam podpisać... Co taki facet wart? Tylko szkody społeczne stale przynosi.

Stanowisko dyrektora ma w sobie dużo z pokera. Władza kierownicza uprawiana w sposób aktywny musi burzyć porządek. Można być kierownikiem bez ingerencji. Wszystko leci, spokój... Natomiast dynamiczne kierownictwo zawsze burzy porządek, zawsze jest jakaś gra. Zawsze gra z ludźmi, z koncepcją, która wydaje bądź nie wydaje. A więc gra z jakimś ryzykiem. Jest to rzecz, która mnie zawsze ogromnie fascynowała. Lubiliem takie rzeczy, które budziły dreszczyki...

Shemem się jest i z szefa trzeba kiedyś odejść. Ważne jest to, aby odchodzić miękko. Nie ma to co robić, ja zrobiłem, ale z drugiej strony uważam, że odszedłem w tym okresie, kiedy miałem najwięcej do powiedzenia, kiedy zebrałem w przedsiębiorstwie doświadczenia, zebrałem wiedzę teoretyczną i znajomość ludzi, dawały mi pełne podstawy do merytorycznego decydowania o wielu sprawach. Ale to ja tylko tak sądzę, że w momencie kiedy odchodziłem mogłem najwięcej zrobić. To się nie potwierdziło z sądami innych. Dyrektor czasem wiele gubi po drodze — kontakt z realiami gospodarczymi, czasem przychodzą przesilenia swoich koncepcji

Technika odejścia

tylko samo zwolenników, co przeciwników. A na początku i tuż zaraz po końcu mam najwięcej przeciwników. I to jest tego typu decyzja i to jest tego typu sprawa.

Jest to decyzja par excellence ekonomiczna. Kiedyś powiedziałem straszna rzecz, że zakładów nie ma społecznych, politycznych i ekonomicznych przesłanek dla swojej egzystencji. Taką była i taka jest moja ocena. A kryteria decyzyjne przyjąłem bardzo wyraźnie: końcowe efektywności nakładu pracy tych paru tysięcy ludzi i środków jakie ta kopalnia pochłonęła i pochłonie.

Nie mogę więc przyjmować za punkt wyjścia, że moje wysadzenie z siódła, to ten właśnie zakład. To byłoby uproszczenie sprawy. Nie mogę przyjąć tezy, którą wypowiadają ludzie... Ja byłem już tym zakładem zmęczony. Ratowałem go z wielu kłesk. Zalenie, przeprowadzenie ogromnych maszyn, jednej, drugiej, trzy ogromne katastrofy. Moje przekonanie o jego niskiej efektywności nie pogodziło się z linią... I tak to jest. Mogę powiedzieć, że sześć lat temu, gdy zacząłem go rozliczać, podpisałem wyrok na siebie. Jeżeli nie potrafiłem realizować linii politycznej i kierunku jaki został w stosunku do tego zakładu przyjęty, to znaczy, że nie mogłem być dalej dyrektorem. Jest to dopowiedziane do końca.

W całym założeniu ekonomii politycznej socjalizmu występuje prymat polityki nad ekonomią. Co do tego, to teoria dawno się już z tym rozprawiła i takich, którzy w to nie wierzą — bywa coraz mniej. A przy samej technicznej i ekonomicznej stronie rozważań o owym zakładzie znajduje się po równo jego zwolenników i przeciwników. Przy czym dziś zwłaszcza, można przyjąć większość, jest jego zwolennikami. Bo to idzie. Inna rzecz, jak ja nie miałem sprzętu. Odszedłem podpisując kontrakt, który teraz został zrealizowany. Kolega, który teraz pracuje może mówić: „No jak to. Ja daję same efekty z zakładu”. Ale kupiono osiem podstawowych maszyn i wiele innego sprzętu, który daje życie temu zakładowi. Nie wiem kiedy on się zmortyzuje. Dzisiaj ten surowiec jest w cenie. Dzisiaj ten surowiec jest drogi, jutro tani i potem znowu drogi. I to tak będzie.

Dlatego ja mówię: „Poczekamy, jak zakład znowu stanie. Będziemy inaczej rozmawiać”. A to mu grozi za rok — półtora. Będzie znowu dawał pięćdziesiąt procent planowanej produkcji. Tak, jak ja stałem w roku ubiegłym. Przez dobre pół roku nie było czym robić, nie było co robić!

Tak, że nie wiem, czy tu jest problem — decyzje ekonomiczne, decyzje polityczne. Bo w samej sferze decyzji ekonomicznych nie ma u nas — w całym procesie ich podejmowania — zarówno kryteriów, jak i drogi zakresu informacji, jednakowych dla wszystkich grup decydujących i szczebli decyzyjnych. Tego nie wolno publikować, ale decyzje o owym zakładzie były kilkakrotnie podjęte. Na najwyższych szczeblach. W kierownictwie ministerstwa. I co z tego? Mój przełożony w zjednoczeniu był za utrzymaniem. Minister był za likwidacją. Ale ktoś tam podsumował bilans handlu zagranicznego i powiedział: „Z punktu widzenia bilansu handlu za-

MARIAN HANIK na tropach sztabu 3 Pułku Strzelców Konnych

Przed drzwiami autobusu do Łonży małe zamieszanie. Grupa mężczyzn otacza jednego, który trzyma w rękach zasiedziałą i pogiętą, metrowej może długości tubę cynkową. Górą nad nimi — dzięki pozycji na stopniach autobusu — postać pana kierowcy: „Ja znowu przewoził nie będę”. Mężczyźni purpurowieją, jeden z nich wybuchną: „Panie! Za to, co jest w tej tubie dziesiątki ludzi zginęły!” inny wzywa kierownika dworca. Warszawa — Stadion. Pan kierownik jest nieco bardziej ogólny w słowach, ale również stoi na stanowisku, że komunikacja osobowa powołana jest do przewożenia masy ludzkiej, a nie — metalowej. Jakiś młody człowiek, znający widok mentalności gestów masowej komunikacji, owija tubę szalenie własną kurtką. Pan kierownik i pan kierowca przyglądają się uważnie zawiątkowi: tak, teraz można. Teraz jest to po prostu kurtka, a nie metalowa rura. Starsi panowie, zdenerwowani i zaspasani, ładują się już bez przeszkód do autobusu.

W nocy z 5 na 6 października 1939 roku dziesiątkowany 3 Pułk Strzelców Konnych przedzierł się przez pierścienie wojsk niemieckich na południe. Droga wiodła śródkiem wielkiej polany leśnej, na której przykucała opuszczona przez ludzi wieś Kalinowa Dół. Kiedy szpica minęła wieś, z przeciwnego krańca polany posypały się serie z broni maszynowej: pułk wpadł w zasadzkę. Stłoczone w wąskiej, zamkniętej szalenie płotami wiejskiej uliczce konie zaczęły cofać się bezładnie, ale odwrót zagradzały naddążające z tyłu wozy łaborowe. Pułk poszedł w rozsypkę. Przez kilka następnych dni po okolicznych lasach tulał się będą kilkusetosobowe grupki żołnierzy i oficerów. Jedną z nich, skupioną wokół zastępcy dowódcy pułku, podpułkownika Stefana Platonoffa, ochraniała pułkowy sztandar, wyniesiony z bitwy przez wachmistra Wacława Stasiewicza. Teraz, kiedy pułk już nie istniał, sztandar rozebrano: drzewce ukryto w lesie, główkę z Orłem wachmistrza

Stasiewicz schował w juki, a płatem sztandaru owinał się, kryjąc go pod kurtką munduru. 11 października grupa podpułkownika Platonoffa dotarła do wsi Kosiny koło Zelechowa. Tutaj ostatecznie potwierdziła się wiadomość, że żadne zwarte oddziały wojska polskiego już nie istnieją i że ten, mundurowy i ułański etap wojny jest skończony. Konie i siódła rozdano chłopom, ciężko chorego podpułkownika odstawił do szpitala, a sztandar, ukryty w skrzyni po amunicji, zakopano w kuźni Stasiewicza Papińskiego. Od tego czasu dzieje sztandaru burzliwe są i tajemnicze. Podczas wojny trzy razy wykopywano go z ziemi i przenoszono w inne miejsce; skrzynię amunicyjną, która nie dawała należytej ochrony, zmieniono na solidną szelak, nie załadowaną tubę cynkową, tę właśnie, która tak nie spodobała się przedstawicielom masowej komunikacji... Przed pięciu laty dziejami 3 Pułku Strzelców Konnych zainteresował się mieszkający w Krakowie syn jednego z oficerów Pułku, Tadeusz Kwiecień. Odszukał kilku kolegów ojca, zaczął gromadzić ich wrywkowe, często sprzeczne ze sobą wspomnienia. Niepostrzeżenie dla siebie samego Tadeusz Kwiecień zachorował. Zachorował beznadziejnie i nieuleczalnie; zaraził się bakterielem tropienia śladów historii. Krag poszukiwań rozszerzał się, poplątane nici ludzkich losów snuły się po całym świecie, rodzinny budżet państwa Kwietniów coraz poważniej obciążały wydatki na obfity korespondencje i rozjazdy po całej Polsce, problem spędzania urlopow rozwiązany został raz na zawsze: Tadeusz brał plecak i wyruszał na pieszą wędrowkę śladami wrzesniowych bitew Pułku. Odszukiwał tych mieszkańców wiosek i przysiółków, którzy pamiętali jeszcze kawalerskie szarże sprzed wielu lat, porównywał wspomnienia z topografią terenu, wypinał pola i lasy tetentem koni i hukiem wystrzałów... Po wielu latach nietatnych poszukiwań (nietatnych także dia-



granicznego opłaca nam się trzymać zakład”. Ja powiedziałem: „Nie. Bo rachunek jest żyły”.

Dlatego, że w rachunku nikt nie policzył zapasów, jakie mieliśmy. To nie, że ja miałem rację, że te zapasy w międzyczasie uruchomiłmy i kiedy produkcji w zakładzie nie było zrobiliśmy eksport. A można było w tym właśnie czasie przestawić się na inny zakład. Tym samymi środkami, które wladowaliśmy w poprzedni.

Ala nie szczebli politycznym, ja tu już mówię o szczebli powyżej ministra, kryteria decyzji są mi niezbrane. One są nie tylko czysto ekonomiczne. Gdybyśmy wiedzieli dokładnie, od jeden do „x”, jak są uszeregowane zasady decyzyjne, to byłbyśmy bardzo szczęśliwym narodem. Przy każdej sprawie ta lista jest różna, kolejność czynników jest różna. Widocznie moja kolejność czynników nie była tak dobra, jak tego kto przedstawił kontrolny projekt.

Przy podejmowaniu decyzji, także w skali makro, nie ma literalnie szkolnej listy kryteriów. Co człowiek, to będzie inaczej. Decyzje realizujemy przez ludzi. I na to trzeba być bardzo wrażliwym. Ja mówię o tym zakładzie. Mój następcą nie nie powie na ten temat. Tabu. Zakład najlepszy, robi plan. Wyniki? Jak najlepsze. Sto dolarów tona. Opłacalne.

Jest to kwestia poglądu, prawda? I dzisiaj jest to zgodne z realiami, bo tona rzeczywiście kosztuje sto dolarów. Cztery tysiące koszt tony u nas... i wszystko się zgadza. Prawda? Jest to ten surowiec, który w gospodarce narodowej stanowi ważny element uzupełniania bilansu.

Odszedłem w okresie ogromnych trudności energetycznych, trudności surowcowych i technicznych zakładu, który miał prawie półroczny przebieg. Wszystko runęło, wszystko zostało przez ponad milion dwieście tysięcy metrów sześciennych ziemi zabrane... Trzeba było helikopterami się postużyc... a w numerze „Perspektyw” był duży artykuł o tym zakładzie i zdjęć śliczne i pisanie, jak to dobrze, że zakład istnieje. A ja mam mówić, że byłoby lepiej, aby nie istniał? Myśmy się ratowali z braku sprzętu helikopterami... Nie mieliśmy czym ratować sprzętu, który się zapadał. Wynajęliśmy helikopter, który jest ogromnie drogi... sto dwadzieścia tysięcy złotych godziną. Ratowaliśmy sześciometrowe przesia, które nie były warte tych pieniędzy. I to, że latał helikopter przyjęte zostało jako miernik naszego postępu. A było to przecież coś zupełnie innego. Na zdrowy rozsądek powinniśmy to byli zostawić, niech to idzie... I nie ruszać tego. Szakoda też benzyny było.

Nie, nie żałuję, że odszedłem, mimo że odchodziłem dwadzieścia lat przed dwudziestopięcioletniem. Trudno było, bo to w końcu przyzwyczajenie. Ale patrząc na to dziś mogę tylko powiedzieć, że w lecie zmienilem konia. Nie pomogą żadne sentymenty. Takie jest życie, taki jest los kierownika. Jest, przychodzi czas, że trzeba odejść i co innego się robi. Nauczyłem się nie żałować tego co się zrobiło i nie żałuję.

Odejście, mierniki, kryteria, decyzje. Cały tragizm polega na tym, że nie ma jednakowych mierników. Jeżeli system ekonomiczny nie ma jednolitego miernika pracy przedsiębiorstwa jakim jest zysk... możemy powiedzieć, że jest to zysk socjalistyczny, jeżeli tamten jest kapitalistyczny — to nie możemy zrobić gradacji parametrów makro i tych pomocniczych w przedsiębiorstwie. Jeżeli to nie stanowi wartości samej w sobie bez względu na to, czy jestem ja, czy ktoś inny, to tak długo będą się kończyć ludzkie postawy, ambicje i ich potencjał intelektualny. Bo determinatorem jest zmienność parametrów oceny. Kryteria już są wtedy swobodne, związane z ludźmi. I to jest nieszczęście. Przykład. Mógł ktoś powiedzieć: „Jest bardzo źle”. Odszedłem ja. Przychodzi następcę i po miesiącu, czy dwóch ci sami ludzie mówią: „Jest bardzo dobrze”. I wszyscy powtarzają: „Jest bardzo dobrze”. Tak to się dzieje? Tak to się dzieje.

Na Zachodzie facet zrobił zysk, ustabilizował przedsiębiorstwo, zapewnił mu żywotność — bo

Felieton absolutnie świąteczny

Piscis Fenolis

Stojąc w kolejkę po te dwa kilogramy żywego karpia miał świadomość, że ostatni już to zakup świąteczny. Coraz bliższa wydawała się chwila, kiedy wyciągnie się schowka w pocie czoła zdobyte prezenty, kiedy położy je pod drzewkiem i odwalisz wszystkie obowiązki uczciwego ojca rodziny odda się przez następne dni lenistwu, obżarstwu i opilstwu. Kiedy usta jego zamarzyły o smaku pieczonego indyka poczuł szarpnięcie za ramię... Uśmiechnięty sąsiad z tej samej klatki (schodowej) od razu wystąpił z inicjatywą:

po każdym oddechując głęboko. Ludzie z kolejki przyglądali im się z wyraźną zaszłością. Niektórzy zawiązali już własne punkty organizacyjne i poczęli robić „ściepe”...

Butełka wystarczyła akurat. Z trzepoczącymi w siatkach karpiami udali się w drogę do domu. Właśnie wtedy sąsiada naszły wątpliwości. Popatrzył na otwierającego się rybi pysk, unoszące się skrzela i przemówił:

„Żal mi jej, rybka mać... Dyszy jakby miała kofijną i galy wtrzeszcza...”

Od słowa do słowa, przy wzrastającej temperaturze uczuć, które dyktował poryw serca, płacząc prawie powoli rezolucje, że nie pozwolą się zmusić wyrodniłemu żonem do zamordowania nieszcześnych stworzeń. Wreszcie którychś, odwołując się do tragicznych przeżyć narodu, wpadł na pomysł by wrócić im wolność. Z powziętą decyzją ruszyli w stronę wiślanego wału. Ryby wpłynęły do rzeki tuż pod Wawelem. Dorodne karpie machnęły ogonami i poszły w głąbinę. Ich dobro-

czyćci zaś podążając w kierunku domu wyraźnie markotneli...

Tymczasem, jak nasz wnikliwy Czytelnik zdążył się domyślić, karpie, które padyły ofiarą wielkodusznosci naszych redaktorów, wypłynęły bruchami do góry w okolicach mostu Grunwaldzkiego. Uśmieciela się bowiem królowa polskich rzek — Wisła. Choć podobno żyją tu ryby. Opowiadał mi jeden stary wędkarz, że raz, kiedy, jak mu to z dawnych lat pozostało w zwyczaju, stał nad Wisłą z wędką tam gdzie pod Salwatorem, nagle potwornie szarpnęło. Po godzinie walki z wodą wynurzył się ogromny karp. Jego jakby aluminiowe luskę wydawały metaliczne szczęk. Ryba błysnęła laserowym okiem i zabułgotowała wypływając oleista maź:

„Nędzniku, jestem Piscis Fenolis, król Wisty i przysły pan waszczwód a potem i ziemi!”

I zniknęła. Logicznie była w porządku, bo przecież ewolucja zaczęła się w wodzie...



tego, że zakrety wojennej i powojennej historii skłoniły wielu z tych starszych już dzisiaj mężczyzn do niechwalenia się swoją kawalerską przeszłością) Tadeusz Kwicień otrzymał list z Kanady. Józef Bisping, jedyny żyjący dziś świadek ostatniego zakopania pułkowego sztandaru, przysłał odczynny, wykonany z pamięci po trzydziestu sześciu latach, szkic terenu, w którym sztandar został ukryty.

5 lipca 1980 roku grupka starszych panów z napięciem obserwowała starszego szeregowego Krzysztofa Gamonia, najlepszego saperą 6 Pomorskiej Dywizji Po-

wietrzno-Desantowej, który z wykrywaczem min błądził po lesie około wsi Zagórki pod Puławami. Po dwu i pół godzinach poszukiwań saper wskazał miejsce, w którym należało kopać. Po chwili wydobyto z ziemi butelkę z prokolem i cynowy pojemnik — ze sztandarem...

Kapiące od tuszu powieki kelnerki w sali bankietowej hotelu „Polonez” w Łomży rozszereżyły się ze zdziwienia: trzydziestu pięciu odświętnie ubranych mężczyzn nie usiadło przy długim, nakrytym do kolacji stole, lecz

stanęło w milczeniu, na baczność, szpalerem. Z głośników na podium, zamiast codziennych produkcji dansingowej orkiestry, popłynęły tym razem dźwięki nagranego na taśmie marsza pułkowego. Na salę wkroczył poczet sztandarowy. Drzewce, tak jak przed wieloma laty, dzierży chorągwy pułku, starszy wachmistrz Tadeusz Orłowski; lekko uniesiona głowa, wzrok skierowany przed siebie, gdzieś w przetrzeń, błada, skupiona twarz. Najstarszy obecnie stopniem z żyjących oficerów, podpułkownik Bronisław Lubieniecki (w 1939 roku naczelnym lekarzem weterynarii

pułku w stopniu kapitana) długo nie może sobie poradzić z nalożeniem okularów. Wreszcie zaczyna czytać nieswoim, łamiącym się głosem: „Otwieram pierwszy zjazd byłych żołnierzy 3 Pułku Strzelców Konnych imienia hetmana polnego koronnego Stefana Czarnieckiego...” Potem zabiera jeszcze głos sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR w Łomży Stanisław Piwowar i sekretarz Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD Tadeusz Kasprzyski. Po ich wystąpieniach stopniowo narasta gwar. Pierwsze wrzeszenie minęło, coraz częściej słychać: „A czy pamięta pan, panie rotmistrzu,

jak wtedy...” Układa się mozaika wrześnieych pejzaży z obrazów śmiesznych i heroicznych, z zapachów rozgrzanego słońcem lasu i ludzkiego potu, z rzemienia koni i krzyku konających...

Ktoś opowiada o pierwszej ofierze tamtego września: o strzelcu, który zginął trafiony ramą metalowego łożka wyrzuczonego podmuchem bomby z bundyku leśniczkówki w Czerwonym Borze. Ktoś inny służył w obsłudze pułkowej działki przeciwpancernego i mówi teraz o pierwszym spotkaniu z hitlerowskimi czołgami: wyszły z lasu wprost na nich, a działko dwa razy pod rząd nie odpaliło. Strzał padł dopiero wtedy, gdy pierwszy z czołgów dzieliło od ich pozycji zaledwie sto metrów... Lysawy, tegi mężczyzna przysięga, że do dzisiaj ma w oczach ten huczający, coraz większy, pierwszy czołg... Podporucznik rezerwy, Zdzisław Bzozowski wspomina jakiś las, w którym jego pluton zajął pozycję z zadaniem osłaniania odwrotu dywizji. „Na drodze pojawiły się wozy pancerne. Otworzyliśmy ogień, bo dowódca szwadronu powiedział, że na przedpolu nie ma już żadnych oddziałów polskich. Dopiero po dłuższej strzelaninie ktoś zauważył, że to nasze wojsko. Oni też wiedzieć musieli to dostrzec, bo przelatywali i poszli swoją drogą. My nie mieliśmy żadnych strat, a oni... Podczas wigilii w 1941 roku, w obozie jenieckim w Woldenbergu okazało się, że jeden z kolegów dowodził tamtym oddziałem. Dopiero wtedy dowiedziałem się z trzech lat również była niecelna...”

W drzwiach staje kapral Jan Brzeziński. Spóźnił się, bo dopiero przed kilkoma godzinami w jego domu pod Warszawą zadzwonił telefon: ktoś ze ZBoWiD-u dowiedział się, że w Łomży jest jakiś zjazd weteranów i że to chyba chodzi o 3 P.S.K. Jan Brzeziński stracił kontakt z pułkiem w Kalinowem Dole: w ostatniej fazie bitwy przesadził plot i pogalopował w las. Kolegów z pułku szukał wtedy, nad ranem, w lesie, i potem, po wojnie. Odnalazł ich — dopiero dzisiaj.

Zatrzymujemy się za wsią Dzwonek. Krótkotrwała ulewa nie pozwala wyjść z autokaru i w terenie ustalił szczegółów topograficznych: jedni rozpoznają wzgórza, keptę drzew („wtedy były dużo niższe”), innym brakuje strumienia, który przecinał łąkę równoległe do drogi. (Potem okaże się, że potyczka miała miejsce jakieś dwa kilometry stąd, po drugiej stronie wsi). Mówi podporucznik Wacław Tokarz: „Dowódca 3 szwadronu, rotmistrz Wiktor Gosiewski, wzmocnił swój pluton działkami i rusznicami przeciwpancernymi i wydał rozkaz zajęcia stanowisk w rejonie wsi Dzwonek. Około południa na drodze pojawiły się samochody pancerne nieprzyjaciela. Dwa z nich zdołaliśmy zapalić ogniem z działka, reszta cofnęła się. W zaroślach za strumieniem pojawiły się luźne grupki Niemców; rotmistrz wysłał więc starszego wachmistrza Stanisława Tarnowskiego z patrolem, który miał określić siły i stanowiska nieprzyjaciela. Patrol dotarł do strumienia, okopał się i zaczął ostrzeliwać. Kiedy przez dłuższy czas sytuacja nie ulegała zmianie, rotmistrz zdenerwował się: „Niech pan skończy tę pukaninę” — powiedział do mnie — „proszę wziąć pluton, dojdź do stanowisk Tarnowskiego i w zależności od sytuacji albo uderzyć i odrzucić Niemców za wieś, albo wycofać się na poprzednie pozycje”. Pojawienie się moich strzelców na przedpolu Tarnowski odczytał wiadomo jako sygnał do natarcia, bo poderwał swoich ludzi i ruszył naprzód; nie pozostawiało mi nic innego, jak też wydać rozkaz do ataku. Dogoniłszy - nacierający patrol tuż przed zabudowaniami zajętymi przez Niemców, rozpoczęła się walka wręcz. Wachmistrz Tarnowski stał się na bagnety z jakimś feldfeblem, Niemiec przesadził plot i zaczął uciekać w pole. Kiedy Tarnowski przechodził przez plot, żeby go zabić, Niemiec odwrócił się i z bliskiej odległości strzelił mu w twarz...”

„To nie tak było!” — odzywa się jakiś rozgorączkowany głos. „Kiedy wszystkie spojrzenia kierują się na szcuplego mężczyznę o białych jak mleko włosach, ten

miecza się nieco i mówi dalej już spokojnie: „Przynajmniej ja zapomniałem to inaczej. To nie był plot, tylko umocnione faszyną stanowisko karabinu maszynowego. Obrzuciliśmy go granatami; karabin chyba się zaciął, bo nie strzelał. Tarnowski dobiegł pierwszy, wskoczył na to umocnienie z faszyną i zamierzył się bagnietem na celowniczo. Nie zdążył już zadać ciosu, bo Niemiec strzelił z pistoletu. Kula...”

Z przodu autokaru jakieś zamieszanie, ktoś zemdlał. „To Orłowski, chyba przyjeżdżał się z Tarnowskim, bo w pułku zawsze trzymaliśmy się razem...” słyszę obok siebie.

Jedziemy do szpitala w Ostrołęce; ciągle nieprzytomny Tadeusz Orłowski trafia w ręce lekarzy. Po chwili znany już diagnozę: rozległy zawał serca, stan bardzo ciężki. Rezygnujemy z dalszych odwiedzin miejsc, upamiętnionych wrześnieymi bitwami pułku...

Znowu sala hotelu w Łomży. Bronisław Lubieniecki długo, bardzo długo mocuje się z kłapą każdego garnituru. Bo jak opanować drżenie rąk, skoro na przypinany Krzyż Walecznych kąpią lzy oznaczonych mężczyzn? Przecież nie można im mieć za złe, że płaczą, skoro dopiero dzisiaj, tu, w łomżyńskim hotelu dowiedzieli się o odznaczeniach, przynależnych im przed wieloma laty za „czynny udział w odwoju w kampanii wrześnieowej 1939 roku”... W kilku wypadkach podpułkownik Lubieniecki ma ułatwione zadanie, odznaczonych już nie może wzruszyć, od wielu lat leżą głęboko w ziemi. Wtedy wystarczy po prostu podać kawałek metalu na kolorowej wstążce do reki żony, syna.

Telefon ze szpitala w Ostrołęce: Tadeusz Orłowski, starszy wachmistrz 3 Pułku Strzelców Konnych imienia hetmana polnego koronnego Stefana Czarnieckiego już nigdy nie ujmie w swej dionie drzewca pułkowego sztandaru...

MARIAN HANIK

O T K A N I E

Odszedłem, a przedsiębiorstwo było bez niczego w nowym układzie technicznym. Zeszliśmy z tej góry, zjechałymi zwałowarką, zmieniłymi odstawę surowca. To była budowa zakładu po raz drugi.

Dla władzy zawsze było źle. Dla nowej władzy miasto zawsze było zielone. Gdy stara władza patrzyła, jak dookoła nie było listka, trawka nie rosła, jak patrzyła, że zaczyna rosnąć, to widziała robotę. A tu? Przyszli ludzie nowi, od razu zielono, to pomyśleli, że tak jest samo z siebie.

Druga sprawa, to fakt, że kadra dyrektorska mi się rozspadła. Jeden chory, drugi chory. Były czasy, że sam byłem w tym ogromnym przedsiębiorstwie. Nie. Nie naruszałem niczych kompetencji. Co jest wart zastępca dyrektora, który przez pół roku nie jest w robocie? Jakże mu pozostać decyzje? Co jest wart dyrektor techniczny?

W naszych warunkach, w socjalizmie, niezmierznie łatwo jest być dyrektorem. Wystarczy mieć tylko trochę kompromisu w sobie, wystarczy robić drobne przekłamania w efektach, niekoniecznie trzeba się angażować technicznie, organizacyjnie, porządkowo. Dostrzegam, że zabójcze dla Polski jest liberalizm i wzajemna tolerancja. Powinniśmy mieć więcej pryncypów, lepszą aparaturę w ocenie ludzi i przedsiębiorstwa. I techniki odejścia i przycięcia powinny być inne. Bycia też. Nie według zasady: „Bywasz, to znaczy jesteś, jesteś uznawany”. Znam takich kolegów, którzy tylko z tego żyją, że bywają. Jest, jak jest. Ja nie jeździłem do ministerstwa, do wojewody. Ja tu miałem od cholery roboty.

Reportaż ten zdobył I nagrodę w rozstrzygniętym w czerwcu br. konkursie im. A. Polewki. Do tej pory nie był drukowany.

Przychodząc do przedsiębiorstwa szybko ocenilem wartość kadry, którą tu zastałem. Była to kadra tak skłócona ze sobą, że jak tu przyszedłem, to wyjeżdżała komisja KP, przyjeżdżała z KW, KC, Sejmiku, Urzędu Wojewódzkiego. Wszystkie możliwe instancje skarg, zażaleń, kontroli tu siedziały. Dokonałem więc przesunięć. W masowej skali, bo przesunąłem 9 dyrektorów i 147 kierowników. W ramach reorganizacji. Przeszedłem do kombinatu, który tworzyły trzy odrębne zakłady, gdzie wielkość administracji przekraczała półtora tysiąca... a zostawiłem pięćset! Było więc czym pisać.

Wielu ludzi wyłożyło się samych, odkryli się... Na to nie ma rady. Mokną roboty trzeba zrobić na samym początku. Stąd też potem taka długa moja stabilizacja. Jak się tych jatek nie robi na początku, to potem samemu można się wyłożyć. Ludzie się bronią, a najgroźniej broni się słaby. Najbardziej niebezpiecznie dla decydenta. Z mocnym partnerem zderzenie następuje na zasadzie wymiany argumentów, on stanie do walki. A słaby posuży się szwindlem, anonimem, opłuje płótką. I na to nie ma rady.

A tutaj, w tej firmie ludzie nie byli pierwszej wody. Ściągnęli z całej Polski. Element był bardzo złożony. Już się wygotował... chociaż nie za bardzo. Bo... ma pan to wyłączone? Wojewody mało nie zrzucał na kandydata. Przeszedł dwoma głosami. Nie jest to więc jeszcze tak zupełnie spokojny garniec. Nie jest to więc społeczność, którą można lekceważyć. Tu jeszcze coś tkwi z tradycji Republiki... nie wolno, nie wolno...

Wszyscy, którzy stoją na straży władzy, to myślą: „My tu prawda, wiecie, jako władza polityczna trzymamy, a reszta to nasi przeciwnicy”. Tak to nie jest. To się skończyło w mojej młodości, kiedy faktycznie byli przeciwnicy władzy, ustroju. Dziś takich nie ma, aczkolwiek są ludzie z tak znanymi czawkami. Ale to wszystko nie oznacza, aby nie odbudować w społeczeństwie naturalnych sylwetek ludzkich: „nie zgadzam się — odchodzę”. Jeżeli decydent nie jest na tyle przygotowany teoretycznie i na podstawie doświadczeń praktycznych, to dla niego wygodniejsza jest ruchliwość skali ocen. On się

coś pozytywnego, przekonali ludzi do polityki partii, do kierunków, do moralności socjalistycznej, to potem takimi odejściami, jak na przykład moje, obracamy to wszystko w niwecz.

Technika odejścia jest barbarzyńska. Tak samo, jak barbarzyńska jest technika odejścia premiera, mimo że wszyscy mieliśmy go dość. To barbarzyństwo powoduje wyiom w tym wszystkim do czego staramy się to społeczeństwo nakłonić. Dobrac inną technikę i wtedy pozostawia się nienaruszony stan świadomości społeczno-politycznej, akceptacji władzy.

Czy to jest normalne dla władz tego województwa, że za każdym razem, gdy ja się tu pokażę, to ludzie stale robią mi wojewodę. To jest anormalne. Rozmawiałem po moim odejściu z trzydziestoma chyba robotnikami. Pytali: „Panie, gdzie pan idzie, ja do pana pojdę”. Jest to chora sprawa. Technika odchodzenia stosowana u nas wywołuje kryzys zaufania. Przy naturalnych niedomogach, jakie u nas występują, jest to utwierdzanie ludzi i strony politycznie przeciwniej.

Niedawno wybierany był tutaj poseł. Przez kilka dni był taki poseł, i poseł, i poseł... Kandydat. Wreszcie załoga się oburzyła, bo ten pan niewinny miał gdzieś tam dochodzenia milicyjne, kradzież, bil żona... Ale w układach koleżeńskich został kandydatem na posła, pojechał do Warszawy, papiery też pojechał, został zaakceptowany... Jaki jest tu mechanizm? Odwoływania, powoływania? Potem załoga zrzuca mandatami i w ciągu jednego dnia stawia się innego posła. U władzy musi być większe wyczucie społeczne.

A jeśli wobec decyzji, takich, jak w moim przypadku, czy w przypadku tego posła, ludzie czują bezsilność, to trzeba wystrząść wyczucie władzy. Kryteria możemy oceniać i oceniać, tylko musi być chęć posługiwania się nimi.

Był strajk. Fakt, że władze poczuły się urażone i dotknięte. Nie tylko władze partyjne i administracyjne województwa, ale przede wszystkim układ aparatu bezpieczeństwa. To jest prawda. Ale że żadnych przekroczeń co do mojego postępowania w kolejności zawiadamiania nie było, to jest druga prawda. Ze nastąpiło niedocenienie tego zdarzenia we władzach wojewódzkich, komitetu wojewódzkiego, bezpieczeństwa, to jest trzecia prawda. Przebieg mojego informowania był zgodny z przepisami. Zadzwoniłem do zjednoczenia, bo to był mój obowiązek. Dyrektor zjednoczenia złożył meldunek urzędującemu wiceministrowi, który powiadomił KC. To nie moja wina, że on powiadomił KC, a władze wojewódzkie nie. Ja dzwoniłem do KZ-u, pojechałem do KW. Ale szefa bezpieczeństwa nie zawiadomiłem, bo takiego obowiązku nie miałem. To on powinien zawiadomić mnie co się dzieje, bo w końcu od tego jest.

Ci złożyli meldunek do KC, ci nie złożyli. Zderzenie. To jak tam? Po linii KC i spraw bezpieczeństwa przyjeżdża jedna komisja, druga... Potem się posypały gromy na władzę wojewódzką. Bo jak to? Administracja zabezpiecza, a wy nie... Potem... Nie. Nie było między mną a władzą wojewódzką zderzeń. Raczej unikanie zderzeń. Technika unikania zderzeń jest po prostu taka, że się nie spotykamy, a skoro się nie spotykamy, to ja nie bywam. Skoro nie bywam, to znaczy, że mnie nie ma, nie jestem uznawany... Z innej beczki, to jest wielokrotna zmiana decyzji na jeden i ten sam temat. Przy stole tak, poza stołem inaczej. Znowu do stołu, znowu tak... „Wszyscy mamy rację i towarzysze ma rację przede wszystkim”. I znowu odchodzimy od stołu i tak dalej, tak dalej, dalej...

Z techniką męczenia faceta... Miałem raz taki wywiek. Nie tak zatańczyłem polkę, w każdym razie nie od pieca. Wolął mnie do komitetu powiatowego: „Sekretarz chce z wami porozmawiać”. Pojechałem. „Wicie, towarzyszu, jest narada, poczekajcie! No to czekam, piętnaście

w tym zawsze znieśli, nie ma wewnętrznej dyscypliny. On się nie przysza do czegoś tam... i do przodu. Jest to typowo zachowanie. Jeżeli jednak kogoś nie stać na swoją skalę ocen, na swoje stanowisko i na jego reprezentowanie, to nie ma co mówić...”

Zawsze tak było i będzie w historii, że immanentną rzeczą władzy jest decydowanie i kształtowanie przyszłości. Bez względu na to, czy to się ludziom podoba, czy nie. Ale każda mądra władza identyfikuje się ze społecznym odczuciem, wychodzi naprzeciw średnim ocenom społeczeństwa; jego oczekiwaniom. I mnie się wydaje, że nasza socjalistyczna władza pierwsza w historii jasno się na ten temat wypowiedziała. Jest tuż, tuż bliska prawdy. Ale musimy rozgraniczać teorię od zwykłych błędów praktycznych. Na to nie ma rady, nie ma wyjścia.

Czy istnieje na świecie jakiś system, który pozwalałby na to, żeby w przypadku jakiegoś sprzeciwu — jak na przykład w moim przypadku — nastąpiła zmiana biegu wydarzeń? Władza może być tylko bardziej przebiegła. O pełniejszym, lepszym rozpoznaniu. I nie popełniać tak rażących błędów.

Niedawno wybierany był tutaj poseł. Przez kilka dni był taki poseł, i poseł, i poseł... Kandydat. Wreszcie załoga się oburzyła, bo ten pan niewinny miał gdzieś tam dochodzenia milicyjne, kradzież, bil żona... Ale w układach koleżeńskich został kandydatem na posła, pojechał do Warszawy, papiery też pojechał, został zaakceptowany... Jaki jest tu mechanizm? Odwoływania, powoływania? Potem załoga zrzuca mandatami i w ciągu jednego dnia stawia się innego posła. U władzy musi być większe wyczucie społeczne.

A jeśli wobec decyzji, takich, jak w moim przypadku, czy w przypadku tego posła, ludzie czują bezsilność, to trzeba wystrząść wyczucie władzy. Kryteria możemy oceniać i oceniać, tylko musi być chęć posługiwania się nimi.

Był strajk. Fakt, że władze poczuły się urażone i dotknięte. Nie tylko władze partyjne i administracyjne województwa, ale przede wszystkim układ aparatu bezpieczeństwa. To jest prawda. Ale że żadnych przekroczeń co do mojego postępowania w kolejności zawiadamiania nie było, to jest druga prawda. Ze nastąpiło niedocenienie tego zdarzenia we władzach wojewódzkich, komitetu wojewódzkiego, bezpieczeństwa, to jest trzecia prawda. Przebieg mojego informowania był zgodny z przepisami. Zadzwoniłem do zjednoczenia, bo to był mój obowiązek. Dyrektor zjednoczenia złożył meldunek urzędującemu wiceministrowi, który powiadomił KC. To nie moja wina, że on powiadomił KC, a władze wojewódzkie nie. Ja dzwoniłem do KZ-u, pojechałem do KW. Ale szefa bezpieczeństwa nie zawiadomiłem, bo takiego obowiązku nie miałem. To on powinien zawiadomić mnie co się dzieje, bo w końcu od tego jest.

Ci złożyli meldunek do KC, ci nie złożyli. Zderzenie. To jak tam? Po linii KC i spraw bezpieczeństwa przyjeżdża jedna komisja, druga... Potem się posypały gromy na władzę wojewódzką. Bo jak to? Administracja zabezpiecza, a wy nie... Potem... Nie. Nie było między mną a władzą wojewódzką zderzeń. Raczej unikanie zderzeń. Technika unikania zderzeń jest po prostu taka, że się nie spotykamy, a skoro się nie spotykamy, to ja nie bywam. Skoro nie bywam, to znaczy, że mnie nie ma, nie jestem uznawany... Z innej beczki, to jest wielokrotna zmiana decyzji na jeden i ten sam temat. Przy stole tak, poza stołem inaczej. Znowu do stołu, znowu tak... „Wszyscy mamy rację i towarzysze ma rację przede wszystkim”. I znowu odchodzimy od stołu i tak dalej, tak dalej, dalej...

Z techniką męczenia faceta... Miałem raz taki wywiek. Nie tak zatańczyłem polkę, w każdym razie nie od pieca. Wolął mnie do komitetu powiatowego: „Sekretarz chce z wami porozmawiać”. Pojechałem. „Wicie, towarzyszu, jest narada, poczekajcie! No to czekam, piętnaście

minut, pół godziny i pytam ile mam czekać? Mówię: „Skocz do fabryki, mam tam pełną robotę, jak sekretarz skończy, to zadzwonię”. Przyjechałem do fabryki, a tam sekretarka, że sekretarz znowu dzwonił. Ja do komitetu, a tam znów: „Poczekajcie towarzyszu, narada”. Sześć godzin takiego salomabu było, takie są techniki...

W tych technikach bycia dyrektorem trzeba mieć orientację. Trzeba znać techniki męczenia, przede wszystkim jednak techniki rządzenia firmą, której się jest dyrektorem. Jeśli są mocne jednostki współuczestniczenia we władzy, to model szefa jest tonowany. Władza na szczeblu komitetu zakładowego — bo to jest przedstawiciel władzy — równa się zarządzaniu. Rozgraniczenie władzy typowo politycznej od praktyki zarządzania władzą administracyjnej jest praktycznie niemożliwe. Przez wiele lat to obserwowałem. Główne decyzje trzeba podejmować w układzie kolektywnym. A to już jest inna technika. Niezwykle czasochłonna, ale decyzja może być społecznie lepiej przyjęta. Nie powinno to szkodzić ekonomiczności decyzji. Odwrotnie. Powinno podnieść jej wartość. Nasz socjalistyczny model zarządzania jest kapitalnym modelem. Gdyby kapitalista miał taki model, to byłibyśmy jeszcze dalej w ogniu. Ale my źle ten model wykorzystujemy. Po prostu to zależy od ludzi. Jeżeli dyrektor, sekretarz i przewodniczący rady robotniczej są mądrzy i z ograniczonymi mniemaniami o sobie, to jest kapitalna harmonia. Natomiast, jak się zaczyna przeciąganie... To jest przeciwieństwo, w którym wyprzedza się, wypracowuje decyzje. Gdzieś ona wcześniej wyjdzie. Nie są to układy szczerne, nie jest to Biuro Polityczne, gdzie decyzje są szczerne. Jest to przeciwieństwo przedsiębiorstwa, gdzie trzeba się konsultować. Czasem, jak się nacisnie na nagiętek i się drugi, czy trzeci dowie, to zaraz czuje się obrażony: „Ja się dowiaduję tutaj, wiecie, dyrektorze o nowych rzeczach”. A to zwyczajnie — on się powinien o tym dowiadywać. Drugi, trzeci, czwarty. On powinien tylko patrzeć na to, aby bez jego działania to się nie odbywało, aby bez jego uwag to się nie działo. A nie, który on tam jest zawiadamiany w kolejkę. Na tym polega cały dowcip, że się ludzie czasami biorą za lby przez nieznajomość tego działania. Struktury to ludzie, a ludzie...

Mam to już chyba za sobą. W mojej drodze życiowej nie zakładałem kariery administracyjnej, czyli pionowej. Dyrektor przedsiębiorstwa, dyrektor zjednoczenia, wiceminister, minister. Nie ustawiłem się pod karierę stanowiskową. Miałem zamiary, które w pełni zrealizowałem. Zaobyczem doktorat, pozostawiłem po sobie po-

wsze trwale opracowania, mam na koncie wiele publikacji. Satisfakcją jest dla mnie to, że senat politechniki zaakceptował mój wniosek: na docenta jednomyslnie. To jest coś, co się w nauce rzadko zdarza. Nie zrobiłem błędów, nie uwierzyłem w wielkość i trwałość stanowiska naczelnego dyrektora. W poprzednim zakładzie może tak, ale w tamtym nie.

Trudno mówić, że dyrektor przedsiębiorstwa, nawet takiego jak to, o którym mówimy, może dać do zmiany struktury na tak szerokim obszarze, jak na przykład ten zakład, który wciąż wraca w naszych rozważaniach. Widocznie brałem się za rzeczy przekraczające moje możliwości. „Bo gdyby to wszystko było podległe tak jednoznacznie dyrektorowi, ja bym to sam zlikwidował. Gdybym mógł nie pytać się nikogo o zdanie, to chodzilibyśmy dziś po nowym zakładzie, który mniejszym nakładem środków dawaby kilka razy więcej surowca... Zrobiłbym tak!



Rysunki: ANDRZEJ KOWALCZYK

Gierkiem zostałem zwolniony z pracy. Pamiętam, było to 9 stycznia 1972 roku. Było to natychmiastowe wydalenie mnie ze stoczni bez podania jakiegokolwiek przyczyn. Faktycznie pozabawiono mnie pracy dlatego, że w grudniu 1970 roku byłem jednym z przywódców strajku, a później jako przewodniczący Rady Oddziałowej dopominałem się o spełnienie przyczynionych obietnic. Zabrano mi przepustkę i nie dano do ręki żadnego dokumentu o rozwiązaniu ze mną umowy o pracę. Odpowiednie papiery miałem otrzymać drogą pocztową, dostaniem jedynie należności za 14 dni. Czekając potem długo na obiecane dokumenty, ale jak się okazało, miałem nigdy ich nie dostać.

Miałem więc „wilczy bilet”, a w domu na utrzymaniu liczną rodzinę. Ratowali mnie koledzy z wydziału. Robili między sobą zbiórki pieniężne na zapomogi dla mnie. Dowiedziałem się później, że organizatorzy tych zbiorów byli szkanowani.

Szukałem sprawiedliwości, lecz na próżno. Zwróciłem się najpierw do zakładowej komisji rozjemczej. Ponieważ w komisji brakowało jedyności, skierowano moją sprawę do sądu. Było 13 rozpraw, a końcowy wyrok — negatywny. Gdzie ja się nie odwoływałem: do Prokuratury Generalnej, do ministra sprawiedliwości — nigdzie nie wzięto mnie w obronę. Pojechałem w mojej sprawie delegacją do KC, ale nie dopuszczono jej do sekretarza.

Jak długo mogłem liczyć na wsparcie kole-

gów...? Zaczęłem pracować dorywczo, gdzie padało. Wynajmowałem się na prowincję przy budowie domów jednorodzinnych. W sumie trwał osiem i pół lat nie miałem stałego zajęcia. Trwało to do chwili wybuchu sierpniowych strajków. Od tego czasu znów pracuję na swoim wydziale i w swoim zawodzie. W odzyskaniu praw pracowniczych, a więc ciągłości zatrudnienia, pomógł mi oświadczenie Lech Wałęsa. Obecnie prawnicy stoczni rozpatrują sprawę przysługującego mi odszkodowania.

Lecz odszkodowanie — to już tylko pieniąd-
ze. Dla takich jak Nowicki największą wartość ma jednak to, że skończyły się dla nich lata życia w udręce. Oby na zawsze — życzymy sobie tego przy wigilijnym stole.

Z buku

To byloby ciekawe: spojrzeć na grudzień 1970 przez pryzmat sierpnia 1980. Zobaczyć naukę, jaką wyciągnięto: i władza, i stoczniowcy.

Grudzień 1970:

Robotnicy na ulicach Gdańska wołają: „Prasa kłamie” i „Chleba i prawdy”.

Gdyński MKS jako swój pierwszy postulat wysuwa żądanie przeprowadzenia wyborów w związkach zawodowych.

Sierpień 1980:

Znana lista 21 postulatów stoczniowców, podpisana na Wybrzeżu Umowy Społecz-

nej, wyrosła z ducha tamtych, grudniowych fan-
dów. Tylko ich autorzy są mądrzejsi o 10 lat i jedno stracone nadzieje. Więc już nie „prasa kłamie” — a ustawa o cenzurze. I nie wybory — ale zupełnie nowe związki.

Są mądrzejsi i w tym, że nie wyszli na ulice, zamknęli się — w swoich tylko gronie — w fabrykach.

Mądrzejsza była i władza, gdy podjęła dialog ze strajkującymi.

Sierpień więc to happy end Grudnia...!

Znów Gdynia

Jest ciemny świt grudniowy — jak WTEDY. I jak wtedy dwa perony, kilka torów odcinających bloki od stoczni, kilkumetrowej szerokości kładka spinająca je na powrót. I jeszcze coś jest jak wtedy: TEUM wysypujący się z nadjeżdżających bez przerwy pociągów.

Ale jest dziesięć lat później. Dziś ludzie nie spieszą się do pracy, przesuwają się powoli, świadomi bolesnej rocznicy i obowiązku pamięci o tych, którym niczego już pamiętać nie było dane.

Pamięć, która żeby żywych nie dzielić — musi być pełna i w żadnym szczególnie nie przemilczana.

**EWA OWSIANY
TADEUSZ STEC
MARIAN SZULC**

ZGODA

Nie ma prawdy między rządzonymi i rządzącymi, jeśli nie funkcjonuje OPINIA PUBLICZNA

lub jeśli każdy wyższy urzędnik władzy wykonawczej, planu państwowego czy partyjnego, może ją ograniczać w imię swego partykularnego interesu (przykładem znany zapis cenzorski — „nie wolno krytykować reformy oświaty”). Stąd — jeśli robotnik, chłop i inteligent chcą owej prawdy, musi ona być bronią polityczną, polityczny mandat cenzury oraz przez podporządkowanie urzędu cenzury wyłączenie Sejmowi. Nikt nie może za biurka, poza naszymi plecami, poza OPINIĄ PUBLICZNĄ decydować o tym, o czym wolno informować społeczeństwo, a o czym nie. Jeśli dopuścimy do tego, by bez nas powstawały takie decyzje, to i inne — O NAS — też będą powstawały — BEZ NAS. I szybko wrócimy do punktu wyjścia.

Zgoda narodowa na harmonijne, spokojne, solidarne działanie na rzecz budowy demokracji socjalistycznej wymaga wielkiej, a jakże często nam brakującej, KULTURY POLITYCZNEJ. Spokój i ład to przecież także taki stan rzeczy, który jest pozytywny, gdy powstaje nie jako wynik przymusu, zastraszania, zmuszenia, ale w wyniku rozwiązywania trudnych problemów w porozumieniu rządzących z opinią publiczną, z organami przedstawicielskimi społeczeństwa, w wyniku radzenia się wszystkich — ze wszystkimi, jakie stanowisko, jaka decyzja będzie do przyjęcia przez najszersze kręgi społeczne. Do tego trzeba kultury politycznej, po stronie rządzących, i po stronie rządzonych, to jest postaw zorientowanych na wspólne podejmowanie decyzji, w toku i w wyniku dialogu. Na kulturę polityczną składa się umiejętność dyskusyjności i argumentowania, rezygnacji z pierwotnego stanowiska, jeśli okaże się niesłuszne, trwania przy własnym stanowisku, jeśli uważa się je za jedyne, prawdziwie zgodne z interesami ogółu. Nie tylko postaw nacechowanych kulturą polityczną ni trzeba, lecz i składających się na nią PRAW I INSTYTUCJI. Do nich zaś należą przede wszystkim — swoboda wypowiedziania się opinii publicznej, posiadanie wpływu na reprezentacje społeczne, wpływ tych reprezentacji na organy wykonawcze państwa, partii, organizacji zawodowych itd.

Tak rozumiana zgoda na budowę demokracji socjalistycznej ma dwa rodzaje wrógów:

Pierwsza grupa nieprzyjaciół to ci, którzy są po prostu przeciw socjalizmowi jako takiemu. Różne były ich drogi do takiego stanowiska, często stoi za nim zraniona próżność, zawiedzione ambicje, chorobliwe pragnienie znaczenia, czy zwykła psychopatologia polityczna — skłonność do snucia ekstremistycznych, burzycielskich wizji politycznych.

Grupa ta jest bardzo nieliczna, bez oparcia społecznego, bez istotnego wpływu na opinie ludzi pracy.

Co najwyżej znajduje powierzchowną sympatię wśród ludzi zabubionych — których zawodzone po dwakroć, w 1956 r. i 1970 r. nadzieje na rozwój demokracji socjalistycznej pchnęły w tym kierunku. Każdy krok na drodze demokratyzacji państwa i partii pozabawia resztek oparcia społecznego wspomnianej siły. Ma rację J. Surdykowski, który w najnowszym „Życiu Literackim” porównuje ich liczbę i wpływy do zwolenników monarchii w Polsce.

Druga grupa — powiem zdecydowanie — groźniejsza i liczniej-
sza, to ci wszyscy, którzy mówią o zgodzie, mając na myśli rzecz przez Polaków najbardziej znienawidzoną — rządy bez odpowiedzialności za decyzje, rządy przy pomocy bąta i marchewki, rządy elity biurokratyczno-technokratycznej, która sama siebie chciała uczynić, jak się w języku potocznym już przyjęło mówić, „władzicielami kraju”. Najgroźniejszą też „odnawiając”, niszcząc swoich wrogów, czyli ludzi pracujących, by słońca socjalizm i demokracja nie kięły się ze sobą. Idea samorządu robotniczego, terytorialnego, Sejmu władnego kontrolować biurokrację państwową, partii — demokratycznej i posiadającej silne oparcie w opinii klasy robotniczej, niechętniej wrzuciłoby do jednego worka z ideami antysocjalistycznymi. Jakże łatwo byłoby im wówczas i siodko niszczyć tych, którzy stanowią największą dla nich groźbę! Ich rachuby są jednak złudne.

Ani zmnęczenie obywateli, ani strach, ani braki na rynku, ani szantaż wszelkiego rodzaju nie są w stanie wymazać ze świadomości klasy robotniczej i całego społeczeństwa doświadczeń historii Polski Ludowej — lat 1956, 1968, 1970, 1976 i 1980.

Zmnęczenie ogarna nas wszystkich, ale zmnęczenie nie będzie dla nas Polaków usprawiedliwieniem, jeśli po raz trzeci losy Ojczyzny, naprawę Rzeczypospolitej oddamy w ręce „ludnych”, w ręce odcygniętych od społeczeństwa, od narodu, od mas partyjnych, od klasy robotniczej — biurokratów i technokratów. Świadomość tego jest tak silna w naszym społeczeństwie, że nie mają oni co liczyć na zmnęczenie, rezygnację i zastraszanie. Natomiast ci, którzy chcą — pełnić zawód polityków — pełni służbę wobec społeczeństwa, działacze na rzecz demokracji socjalistycznej i tak rozumianej odnowy, mogą liczyć nie tylko na zgodę, lecz na niewyczerpaną energię, dobrą wolę i mądrość, patriotyzm i bezinteresowność absolutnej większości naszego społeczeństwa.

Żeby na tej drodze kroczyć dalej, nie cofnąć się, trzeba spokoju i ładu, zgodnego działania na rzecz postępu procesów demokratyzacji Polski.

Nie wolno jednak dopuścić do tego, byśmy spójność i ład osiągnęli drogą rezygnacji, niechęcnego, porzucenia tak wielkimi kosztami ekonomicznymi, politycznymi i moralnymi opłaconej i zaledwie rozpoczętej pracy.

Pisał kiedyś Józef Chalasiński, jakże słusznie, iż znamię nowoczesności narodu, jego historycznej dojrzałości, jest zdolność do powiązania ze sobą trzech ideałów: ideału niepodległego i suwerennego bytu narodowego, ideału demokracji czyniącej z narodem podmiotem decydującym o sobie samym, o swoim sposobie życia i ideu prawdziwie socjalistycznych stosunków społecznych, odpowiadających tradycji ruchu, który wyrósł z dążeń, wysiłków i poświęceń i pończonych do wyzwolenia społecznego. Zgoda, którą osiągamy po miesiącach rozterek, zdaje mi się być przejawem takiej właśnie dojrzałości. Obmyśli doprowadzili dzięki niej do ostatecznego zespolenia tych ideałów i wcieliłi je w życie.

IAN IERSCHINA

Naprawdę nazywa się Lu An. Kiedy szukała sukcesów na scenie, przybrała pseudonim Lan Ping — „Niebieskie Jabłuszko”. Wiele lat później najbliżsi doradcy widzieli już w niej przyszłą cesarzką Chin; jedni okrzyknęli ją wówczas „najpotężniejszą kobietą świata”, inni wzdrygli się, acz nie bez strachu, mówili po prostu „Po Tse” — „Czarownica”. Świat zna ją przede wszystkim jako panią Ciang Cing, wdowę po Mao Tse-tungu.

Gdzieś około 1973 roku mocno już dotknęły arterioskleroza i zgrzybiałość „Wielki Sternik” Chin zamknął przed nią drzwi raz na zawsze. Aby dostać się przed oblicze męża, Ciang Cing musiała, jak każdy interesant, składać podanie na piśmie. Mniej więcej na rok przed śmiercią Mao, na marginesie takiego podania, które jej odesłano, przeczytała odręczną uwagę: „Nasze rozmowy są bezużyteczne. Co zrobiłaś z książkami o marksizmie, z moimi pracami? Jeśli ich nie czytałaś, to nie ma sensu na ten temat dyskutować. Robisz sobie tylko uwagów. Póki ja żyję, wszystko będzie się dla ciebie dość dobrze układać. Ale jak sobie poradzisz po mojej śmierci?”

Po roku „Wielki Sternik” już nie żył, minęły jeszcze cztery lata i oto wieczorem 21 listopada 1980 roku telewizja chińska nadała kilkuminutowy reportaż, transmitowany systemem satelitarnym do wielu krajów świata. Ona, Ciang Cing — ściągająca na siebie wszystkie kamery! „Stąpiła wyprostowana — napisał jeden z korespondentów — z głową uniesioną, patrząc prosto w kierunku kamer z pewnym odcieniem dumy i lekkim uśmiechem. Było to typowe sentreks na scenie, wejście tuzinkowej aktorki,

rzekomo w poszukiwaniu „tajnego dokumentu wojsk lotniczych”, aby w rzeczywistości wynieść stamtąd listy i materiały, rzucające niekorzystne światło na przeszłość Ciang Cing z okresu, gdy była ona jeszcze w tym mieście podręczną aktorką. Po tej rewizji właściciele mieszkań poddano represjom. Dwa zmarli w następstwie brutalnych tortur, trzeci — słynny aktor Cza Tan — przesiedział 5 lat w pojedynczej celi. A Ciang Cing ktoś widział przy spalaniu odzyskanych listów.

— „Nie mam z tym nic wspólnego — beznamiętnie mówi przed sądem przywódczyni „bandy czworoga”.

Akt oskarżenia — który prasa chińska publikowała przed procesem jak powieść kryminalną w odcinkach — w punkcie dotyczącym fabrykowania masowych oskarżeń w okresie rewolucji kulturalnej mówi, że fałszywie oskarżono i przesładowano m. in. ponad 2600 osób z kół literacko-artystycznych, ponad 142 tys. nauczycieli i działaczy oświatowych, ponad 53 tys. naukowców i techników...
Wu Fa-sien, jeden z „klikli Lin Piao”, zeznając jako świadek w sprawie Ciang Cing, stwierdza, że to właśnie ona była głównym winowajcą. — „Ja — mówi pokrótce — byłem tylko jej pomocnikiem”.

Przyznaje więc Wu Fa-sien, iż na polecenie Ciang Cing wykonał wiele „brudnych robót”, takich jak aresztowanie kilku wiceministrów bezpieczeństwa publicznego. Zaprowadził też do więzienia szefów szanghajskiego urzędu bezpieczeństwa, a ponadto miałaby liczbę osób, które mogły coś wiedzieć o przeszłości Ciang Cing, m. in. jej dawną pokojówkę.

Sąd nad piłką

(CIĄG DALSZY ZE STR. 4)
wewnętrzny spzreciw.

PYTANIE: Od kiedy pracuje pan z kadra?

— Przed paroma miesiącami zostałem zaproszony na niecz z Czechosłowacją.

● **Ale kiedy faktycznie rozpoczął pan współpracę z kadra?**

— W przeddzień wyjazdu do Rzymu...

Zeznaje Józef Mlynarczyk. Przyznaje się do winy. Nie zaprzecza, że był w „Adrii” na kolacji, ale nie pił tam alkoholu. Potem, w barze, wypił z red. Zielińskiego trzy lampki szampana i jeszcze piwo u niego w domu.

PYTANIE: Miał pan ostatnio osobiste kłopoty, proszę powiedzieć jakie?

— Zmarł mi ojciec półtora miesiąca temu. Matka prawie nie widzi. Mieszkanie załata mi woda. W domu z powodu ciągłych wyjazdów są kłótnie.

● **Czy innych powodów nie było?**

— Wyciągnięto mi stare sprawy z Opola.

● **Jakie sprawy?**

— Miałem wypadek samochodowy. Pod koniec października otrzymałem wyrok.

Przewodniczący odczytuje z protokołu: za spowodowanie wypadku w stanie nietrzeźwym Mlynarczyk skazany został na 2 lata pozbawienia wolności z zawieszeniem wykonania kary na cztery lata, na zapłacenie 150 tys. złotych, oraz odebranie prawa jazdy na okres sześciu miesięcy.

● **Kiedy po raz pierwszy rozmawiał z panem psycholog?**

— W Rzymie...!

Oświadczenie składa Zbigniew Boniek. Mówi: zarzuci mi się bunt i szantaż. Ja szanuję trenera kadry, a ludzi których szanuję nie postawiłbym w takiej sytuacji.

Rano w hotelu zobaczyłem Józka i muszę stwierdzić, że nie wyglądał na pijanego, tylko na zmęczonego. Jako członek Rady Drużyny postanowilem interweniować. Wiedziałem, że Józek miał ostatnio kłopoty rodzinne, dobrze byłoby przed odlotem z kimś porozmawiać i przedstawić dogłębnie całą sprawę. Wówczas postępowanie Józka można by inaczej ocenić.

Na lotnisku rozmawialiśmy z trenerem Kuleszą, przedstawiając sprawę Mlynarczyka. Nie było mowy o żadnym szantażu, to były tylko prośby. Uważaliśmy, że pierwsza decyzja trenera podjęta w oparciu o telefoniczną informację kierownika Lisiewicza była niesłuszna.

PYTANIE: Kiedy powołano Radę Drużyny?

- W piątek przed odlotem.
- O której godzinie?
- Nie pamiętam dokładnie.
- Po odprawie?
- Tak.
- Ale po odprawie była kolacja...

żadnego nacisku

na trenera, prosili tylko o gruntowne przeanalizowanie całej sprawy, o wzięcie pod uwagę obecnej sytuacji psychicznej Mlynarczyka.

O głos prosił prezes PZPN gen. Marian Ryba: Może nie powinienem składać oświadczenia, bo na lotnisku nie byłem i nie miałem sprawę z drugiej ręki, ale chciałem przedstawić to, co się działo potem w Rzymie. Odbyłem spotkanie z Radą Drużyny i przedstawiłem im treść zarzutów zawartych w uchwale Zarządu PZPN. W Rzymie wydawało mi się, że było wiele elementów skrucich, gestów świadczących o zrozumieniu przez zawodników powagi sytuacji.

● **A jaka postawę zajęli piłkarze w Rzymie?**

— Na odprawie w Rzymie, jeśli ich dobrze zrozumiałem, nie przyjęli tego zarzutu o buncie. Przyjęli natomiast do wiadomości, że wykreślenie Mlynarczyka mogło wywołać decyzję o jego wykluczeniu z drużyny a poza tym, że sąдно sprawy, ciężar gatunkowy może nie leży w wyroczniu Mlynarczyka, ale w ich postępowaniu.

Jest godzina 20.07. Posiedzenie Wydziału Dyscypliny PZPN zostaje zamknięte.

Temat jest drażliwy, zwłaszcza dzisiaj. Kultura o-
żeniona z polityką to nie jest najlepsze małżeństwo, ale ponieważ rozwód nie zawsze bywa możliwy do przeprowadzenia, najczęściej mamy do czynienia z separacją. Kultura prezentuje się o ustele godnie, gdy uzupelnia ją epitet autonomiczna, aniżeli polityczna czy tym bardziej upolityczniona. Prze-

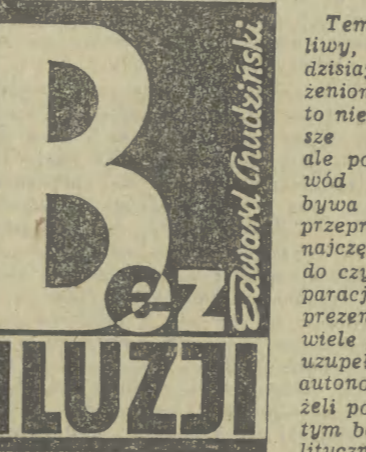
dobrze bowiem w tym upolitycznieniu na różnych zakrętach historii i pozostała awersja do polityki w ogóle. Kultura, rozumiana zwłaszcza jako sfera twórczości, po owych smutnych doświadczeniach niechętnie godzi się na mariaż z polityką, a nierazko programowo się od niej odcina. Polityka z kolei anektuje te czy inne obszary kultury, nie zawsze pytając o zgodę jej twórców, a także odbiorców.

Związki kultury z polityką, jak i polityki z kulturą układają się dość osobliwie. Myłiby się ten, kto by sądził, że im dalej kultura trzyma się od polityki, tym mniej narona jest na manipulację z jej strony. Praktyka dowiodła, że kultura neutralna politycznie, programowo głosząca swoje desinteressement wobec wszelkiej ideologii, w pewnych warunkach jest niemal wyidealizowanym ideałem dla polityków. I odwrotnie, wszystkie działania w kulturze, które zmuszają szerokie twórców jak i odbiorców do określonych wyborów ideowych, które formułują alternatywne programy i hierarchie wartości, nie mówiąc już o zjawisku tzw. kontrkultury, są nieufnie trak-

KULTURA I POLITYKA

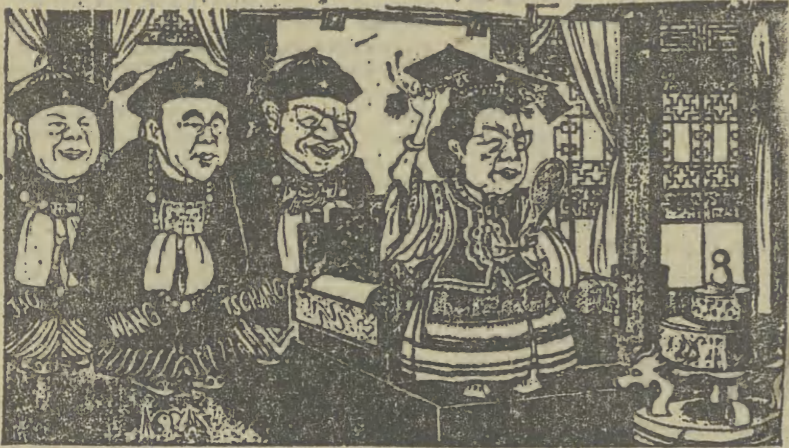
demdziesiątych miał charakter interwencyjny, nie odwracał się od nabrzmiałych spraw społecznych, nie ukęcał w kraje Arkadii i prywatności. Toteż nie dziwne, że zanim zdołał się w pełni wyartykułować i zrealizować w twórczości, stał się solą w oku polityki kulturalnej, która potrafiła go skutecznie upięścić bądź zneutralizować do takich rozmiarów, że przestał być groźny. Dzisiaj wiele elementów tego programu jest nadal aktualnych, a twórczość kształtująca się w jego kręgu przeżywa swój renesans.

Przez długie lata chluba polityki kulturalnej u nas był pluralizm kultury. Nie negując pozytywnych skutków takiej polityki (wtelokierunkowość, poszukiwanie estetyczno-uarsztatowych, prawu twórców do eksperymentu) trzeba widzieć także



Edward Grudziński

WYROK na CZAROWNICĘ



Chciała być cesarzką Chin...

której nagle powierzono główną rolę w spektaklu...
Miejscem spektaklu jest wielka sala gmachu przy ulicy Sprawiedliwości w Pekinie, tej samej ulicy, którą w czasie rewolucji kulturalnej przemianowano na „Antyimperialistyczną”. Ci ludzie na widowni, wpatrujący się w wyniosłą Ciang Cing, to starannie wyselekcjonowani delegaci armii, partii, urzędów, organizacji. Tu jest ich tylko 900, ale widownia są w istocie całe Chiny — miliony ludzi przy telewizorach, miliony rozchwytyjące codzienną prasę, tłumy rozdyskutowane przy gazetkach wielkich hieroglifów — tacypano.

Coż za paradoks. Owe milionowe tłumy z zewnątrz chyba nigdy nie usłysza, ani nigdzie nie wyczytają wszystkich „kwestii” wygłoszonych w gmachu przy ul. Sprawiedliwości przez Ciang Cing i pozostałych „aktorów”. O „spektaklu” bowiem — jakim jest proces „bandy czworoga” oraz „klikli Lin Piao” — wręcz nie ma śladu. Ciang Cing, który w rzeczywistości zbył ponure i aż nadto groźące kompromitacja niektórych przywódców chińskich (żyjących i nieżyjących), aby wszystko, o czym mówią oskarżenia, ludzie biorący w tym procesie udział, w końcu miało być „całkowicie wyczyśczone”, jak rozdzielić winę i odpowiedzialność Mao oraz niektórych aktywnych do dziś działaczy od winy obecnych podszewników, o których już wcześniej powiedziano, iż dopuścili się straszliwych zbrodni? Pytań takich było więcej, toteż przed zagranicznymi sprawozdawcami — i przed tym tłumem z zewnątrz — drzwi są zamknięte. Musi im wystarczyć to, co starannie preparuje chińska prasa, no i te kilkuminutowe, często nieme, telewizyjne przekazy.

Tajemnica listów

Na seil sądowej Ciang Cing zachowuje się wycyzkująco. Przybierając aktorskie pozy, na najprostsze pytania odpowiada: „Nie wiem”, „nie pamiętam”, „nie rozumiem”. I z drwiącym uśmiechem przygląda się sędziom, jakby chciała pokazać, że ten trybunał jest dla niej, niegdyś omył królowej Chin, po prostu niczym.

Omal zeznania świadków przypominająy szczegóły rewizji, przeprowadzonej w październiku 1963 r. w mieszkaniach pięciu szanghajskich aktorów i reżyserów. Mówią, że „grupa młodych ludzi i żołnierzy” wtargnęła do tych mieszkań

Co Ciang Cing tak skrętnie chciała ukryć ze swej przeszłości?

„Mam ważną wiadomość”

Życiorys istotnie ma bogaty. Jako 15-letnia Lu An, została uprowadzona przez handlarzy żywym towarem i sprzedana człowiekowi, który był równocześnie właścicielem trup teatralnej i domu publicznego. Lu An przeszła wtedy „dobrą szkołę życia”, co wiele lat później nierozważnie i z zadziwiającą szczerością potwierdziła — już jako Ciang Cing — w rozmowie z amerykańskim sinologiem, panią Roxane Witke. Wykupiona po dwóch latach przez rodzinę, zapisała się do szkoły teatralnej w Tsing-tse, a po uzyskaniu dyplomu wyszła za mąż za aktora o nazwisku Pej, by potem zagrać kilka drugorzędnych ról na scenie i w filmach pod pseudonimem Lan Ping. Jej drugim mężem był scenarzysta filmowy Ciang Cing, przy nazwisku którego już pozostała, chociaż wkrótce wyszła za mąż po raz trzeci — za rektora Akademii Sztuki w Jenanie, Siu I-sina. Ale i to małżeństwo nie trwało długo, bo młoda i ładna aktorka wstąpiła właśnie do partii i zaczęła pilnie uczyć się na wykłady Mao Tse-tunga, zawsze gorąco oklaskując go z pierwszego rzędu, co po jakimś czasie — a był to rok 1940 — doprowadziło do tego, że Ciang Cing mogła na zebraniu swej organizacji partyjnej radośnie wykrzyknąć: „Mam ważną wiadomość! Żyję z Przewodniczącym Mao!”

Towarzysz z KC, zaszkokowani gwałtowną namiętnością przywódcy do młodzieży o 20 lat aktorki, uznali to wszystko za wielki skandal, zwłaszcza że żona Mao, jego oddana towarzyszką z okresu walk partyjnych i partyzanckich, Ho Te-czen, musiała się właśnie udać na kurację do Związku Radzieckiego. W 5 lat później, mimo zakazu partii i braku rododuzy z Ho Tse-czen, Mao został czwartym mężem Ciang Cing, co w końcu KPCh musiała zaaprobować, wszakże pod warunkiem, że Ciang Cing nigdy nie będzie występowała jako żona Przewodniczącego i przez co najmniej 20 lat nie sięgnie po żadne stanowisko w partii.

Zakazy zakazami, a życie życiem. Im Mao był starszy, tym silniejsze były wpływy i władza jego żony, coraz bardziej nlenawidzonej przez partyjnych kadrowców, a lekceważonej przez elitę intelektualistów. Przyszył wrzesień lata rewolucji kulturalnej. Mbca jak nigdy przedtem Ciang Cing działała już z upoważnieniem Mao w zupełnie nowych warunkach. A że poczucie donianych krzywd tkwiło w niej równie mocno jak pragnienie zemsty — mogła się śmiało zabrać do wyrównania rachunków. (o.d.n.)

JACEK PAŁAMARZ

Piosenka o babci

Tam w kątku stoi wyko nie zasłane,
jeszcze piesek smacznie chrapie na tapczanie,
a już cicho ktoś po domu chodzi w kapciach:
po omacku się ubiera dzielną babcią.
Tata wstanie za godzinę, bo mu płacą,
ale babcia też się musi przydać na coś.
Choć rarytas, już w tym babci siwa głowa,
by w łazience zawsze była rolka nowa.
Szoruj, babciu, do kolejki. Pięć po czwartej,
z mlekiem dzwonią już butelki. Idź na wartę.
Stań w ogonku cichuteńko jak ta myszka,
niech nie złapie cie, serduszek, znów zadyszka.
Siedemdziesiąt lat ma babcia i nie sarka.
To wyczuć, to pokrząta się przy garnkach
I pomodli za pomyślność się jak trzeba:
„daj nam Boże zdrowia i świeżego chleba”.
Leć do sklepu, babciu, przywieźli banany.
Zabierz tamtą setkę, jest pod ręcznikami,
jeśli ci zabraknie to dokończysz z renty:
wiesz, że wnućzek musi płacić alimenty.
Szoruj, babciu, do kolejki. Weź koszyczek.
A uważaj, bo ruch wielki na ulicy.
Do współpracy ruszaj z handlem detalicznym,
nie zapomnij też o maśle dietetycznym.
Babciu droga, jeśli nie ma mydła w kiosku,
ty wymodlisz je u samej Matki Boskiej.
Ty wywalczysz świeży serek w sklepie mlecznym,
za to wszystko ci odpłacą słowem grzecznym.
Jeśli ciężko ci jest z nami — ruszaj z Bogiem,
widokówkę ci wysłamy na Dzień Kobiet.
To co z tego, że swój złoty krzyżyk sprzedasz?
Przecież sama sobie bez nas rady nie dasz.
Szoruj, babciu, po koleje zlew i wannę,
zostaw masło, jadaj kleik albo mannę,
pierz skarpetki, kurze ścieraj, jadaj dziemy,
I broń Boże nie umieraj, bo zginiemy.
(Piosenka wykonywana przez Jacka Zwoźniaka z radłowego „Studia 302” — tekst spisany z taśmy magnetofonowej. Tytuł i interpunkcja od redakcji.)



Zapiski publikatorznika

Z biegiem lat, z biegiem dni, gdy człowiek coraz bardziej traci nadzieję, że mu „Zygmunt” zadzwoni na pogrzebie, dochodzi się do wniosku, że warto by coś po sobie zostawić. Najłatwiej i najczęściej zostawia się długie lub pamiętniki; z pierwszych wypadła od razu zrezygnować, bo kto jest taki naiwny, by dziś komukolwiek pożyczć pieniądze; drugi zamiar jest prostszy w realizacji i mam nawet już owych pamiętników tytuł: WSPOMNIENIA Z MINISTRANTURY. Nie chodzi mi, rzecz jasna, o wspomnienia odległego dzieciństwa w przedszkolu siostr Felicjanek w Nowym Sączu, ale o codzienną publikatorzniczą bieganie. Chyba nie muszę nikogo przekonywać, że najszybciej i najczęściej goni się za dostojnikami; im dostojnik wyższy ranga, tym chętniej bieg przechodzi w kłus.
Biegać trzeba, by zdążyć. Nie zawsze jest tak cudownie jak przed bodajże 8 laty, gdy wprowadzono na polskich drogach ograniczenie szybkości i dostojnicy demonstracyjnie kazali jechać „osiemdziesiątką”. Pamiętam, zbiegło się to z otwarciem czegos w Makowie Podhalańskim i jeszcze czegos w Nowym Targu. Wielka kolumna samochodów jechała przez cały boży dzień, noga za nogą, spóźniając się na „spotkania aktywne” po 2-3 godziny, aż wreszcie pod wieczór szef obstawy nie wytrzymał, zaczął naciskać gaz — i całe towarzystwo dojechało z Podhala do Krakowa w pół godziny, gubiąc po drodze telewizję, radio, prasę i inne niepotrzebne rzeczy.
Wtedy, na początku lat 70., panowała przez jakiś czas moda na „demokrację demonstrowaną”; dostojnicy

z Bałte do Nowej Huty czy na Wawel jechali obowiązkowo autokarem, jadali po stołówkach zakładowych, a „w bezpośredniej rozmowie z robotnikami przy ich stanowiskach pracy żywo interesowali się warunkami pracy i sprawami socjalnymi załogi”. Zwrot ten wejście zapewne do historii polskiej żurnalistyki i polskich obyczajów, jako że innego po prostu się nie stosowało. Pamiętam, że w jednym tylko wydaniu „Wieczoru z Dziennikiem” (z uwagi na ilość i rozmieszczenie prezydentów mówilo się, że te strażliwa, godziną kobylę prowadzi „Chrystus i dwu lotrów”) aż czterokrotnie dostojnicy „żywo interesowali się itd.”. Z natury rzeczy ubogi słownikowo język agencji, przefrancuzowano komentarzy filmowych aktualności, zubożając go jeszcze bardziej. Oduchy buntu były przez centrale tępione białym żelazem; ma być tak — i szus.
Publikatorznik — zwłaszcza telewizyjny i depeszyowy

otrzymywał instrukcje precyzyjne: wyeksponować na lłusto! Zamieścić na czołówce! Nie zmieniać ani słowa. Pamiętam piekło, jakie rozszalało się nad żurnalistą, który w przemówieniu Gomulki pozwolił sobie naszemu przywódcy poprawić błąd logiczny w zdaniu „Przed nadaniem stoja dwie alternatywy”. — Wy tu nie jesteście od myślenia, tylko od roboty (!) — pohukiwano na niego szczeniaka — nadgorliwca. — Jak się mówi nie zmieniamy, to nie zmieniamy! O!
Ow publikatorznik miał potem swego rodzaju satysfakcję, gdy w trakcie jednego z plenów Komitetu Powiatowego w grudniu 1970 zdejnowano na gwałt — nie widząc innej alternatywy — portret owego surowego dostojnika.
Strach, by kogoś nie urazić, nie napisać czy pokazać czegos, co mogłoby być uznane za „aluzyjne” był uczuciem obowiązującym wszystkich ludzi decydujących co iść na antenę i na lamy. Było np. nie do pomyślenia, by w lokalnym dzienniku telewizyjnym, relacjonującym pobyt Gierka czy Jaroszewicza znalazł się równocześnie jakiś materiał interwencyjny, czy krytyczny. — Zwierno-uaś? — ryczał w takich wypadkach naczelny czy kierownik — przecież dziś jest Gierek!
— No to, co?
— No to... no to... — zająknął się raz jeden z Naczelnych — no to, że jak już jest, to mogłoby to zobaczyć na antenie i skojarzyć.
— Co, na ilość boską?

— No, że on i że Burdel...
Dostojnika można było obrazić nawet po śmierci. Jeden z moich przyjaciół — sygnujący krótkie informacje skrótem (pa) robił sprawozdanie z pogrzebu jednego z groźnych, a wielce zasłużonych obywateli, a sprawozdanie owo zakończył niekonwencjonalnie: „Świeżo mogiłę pokryły wieńce i wianki kwiatów (pa)”. Rozszalało się piekło, kłótnie oprócz innych efektów przyniosło również zakaz sygnowania informacji w sposób aluzyjny.
Aluzją mogło być pokazywanie kopania dołów (dołków?), nowego przychówka zoo, produkcji gatęk, sprzątania z życiem mioty i sam Pan Bóg nie wie czego (uwaga: używanie słowa „Bóg” mogło być w kontekście wizyty również aluzyjne). Człowiek budził się w nocy zły zinnym potem i do rana główkował, czy dobrze, że napisał „wieloletnie tłumy” skoro na trasie przejazdu nie było nikogo, czy trzeba było raczej ową pustkę określać jako „wieloletnie spotkanie”. Jednego tylko byliśmy pewni zawsze, że nie ma lepszego, bardziej wypróbowanego tytułu, jak GOSPODARSKA WIZYTA. Do tego nie mógł się przycepać nikt, nawet jeden z Katońów krakowskiej myśli politycznej, człowiek tak lojalny i czujny wobec Domu Pańskiego, że na wizytówkach kazał sobie nad nazwiskiem wyrukować „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się”.
Od żurnalisty wymagano dokładnej znajomości lokalnego protokołu. Trzeba było wiedzieć, kiedy to, na czym jesteśmy, nazwać „spotkaniem aktywnym”, kiedy „skromną, żołnierską kolacją”, a kiedy „poczestunkiem, przygotowanym przez miejscowe Koło Gospodyń Wiejskich”. I o-jałnie trzeba przynajmniej być bankieciśką — giganty, organizowane najczęściej za kaszono pieniądze przy każdym przysyłowym „otwarciu parafosa” zniknęły (jako zjawisko) od początków lat 70. Weźmieś — ho, ho, ileż to nieraz musiały namęczyć się operator filmowy, by pokazać znaczne grono, a zreczenie nie wprowadzić w kadr butelek...
No, ale na dziś rzecz miała być o języku, którym nie-szczęśny publikatorznik na co dzień „sprawozdawał”. Sprawozdanie było znacznie prostsze, niż obecnie, bo na dobrą sprawę relacje z większości narad można było napisać jeszcze przed ich rozpoczęciem. Dziś, ech — iza się w oku kreć. Trzeba wiedzieć do końca, czekać na wyniki głosowania, pilnie notować poszczególne wypowiedzi i nie frustrować się coraz częstszym wywoływaniem do telefonu, na drugim końcu którego wisi sekretarz redakcji.
— Ty zdaje się zapominałeś, że gazeta ma się jutro ukazać? Czy wiesz, która jest godzina?
— Ależ dyskusja trwa!
— To im powiedz, żeby skończyli — ryczy słuchawka — po co tam jesteś?
LESZEK MAZAN

Mrożki!

NAREZCIE TO,
CO CO CHODZI!

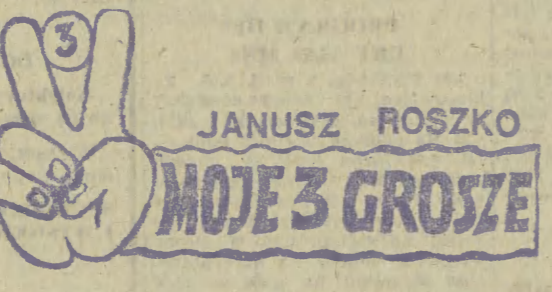


Przepis po polsku

Wziąć to, czego nie ma,
Dodać soli i kminku,
Potem zmieszać z tym, czego
Chwilowo brak na rynku.
Mieszać długo i dokładnie,
Jak się znudzi, przestać
I posypać tym, na co
Absolutnie nas nie stać.
Można upiec, bądź usmażyć
Lub przypiekać na różnack
Polewając tym, o czym
Nawet marzyć nie można.
Wszyscy u nas to jedzą,
Dla każdego wystarczy.
Na tym właśnie polega
Polski cud gospodarczy.
(anonimowy wiersz napisany
i kolportowany na Wybrzeżu
w okresie sierpnia br.)

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

dają się zapadł! Ale pan Siciński żył jeszcze długo, a po śmierci pokazywano go w szklanej gablocie przy zakrytym upińskiego kościola. Nie była to zbrodnia Sicińskiego, namówił go do tego pan z Kiejan, wniosty magnat Janusz Radziwiłł. Nie zdrada w czas potopy, nie knucie z dysydentami — ale to jedno liberum veto, którym zburzył gmach polskiego parlamentaryzmu było zbrodnią Radziwiłła największą wobec Rzeczypospolitej.



Polonez królowej

Rok 1661, koniec kwietnia, Pan Pinocci kazał drukarzowi Gorczyńskowi jadować całą drukarnię i redakcję na wozy, jechać na sejm do Warszawy. Tam się sprawa reform rozstrzygnie do końca. Choć opozycja się zbiera, pan Fredro wicherzy, zamach na wolność znowu upatrują panowie szlachta. Ale sejm jest wroczysty, Czarniecki rzuca pod nogi króla chorągwie zdobyte na wrogach, aktorzy grają „Cyda” Corneille’a — z piękną apostołą do królestwa piera pana Andrzeja Morszczyka... Król i królowa chcą, aby na tron po nich wstąpił książę francuski d'Enghien, ożeniony z siostrzenicą Marii Ludwiki. Wicherzy największą z kulisami Jerzy Lubomirski, którego wydało się, że on sam może na tron postąpić w przyszłej wolnej elekcji...
Król przestrzega przed upadkiem ojczyzny. W tym pamiętnym, powstaniem pierwszej polskiej gazety, roku 1661 król Jan Kazimierz przeżyłnie przepowiedział, co nastąpi w 150 lat później:

„Oto trzecia ciemna, ponura plama, Skrwawiona nawet. Pan Jerzy Lubomirski wstąpił zbrojnie przeciw planom, z których królowa Maria Ludwika nie chciała zupełnie zrezygnować. Rokosz! Stanęła szlachta pod broń w obronie zagrożonych wolności. Ciągnęły armie przez Rzeczpospolitą na przelaj, aż wreszcie gądzie pod Kruszwicka, we wsi Mątwy weszły pułki królewskie na groble węgla. Szedł najpierw pułk wstawiony zwycięstwami wieloma w Danii i pod Cudnowem, pułk Czarnieckiego, za nimi królewskie dragonie... Rzucili się na nich rokoczenie, którym pan Lubomirski przed bitwą nie szczędził okowity. Rąbali żołnierzy Czarnieckiego jednego za drugim, w pijanym szale jeli ślekać ciała trupów. Tak skończyła się sławna chorągiew co tyli szlak bojowy przesłała. Inne za nią. Legio 4 tysiące żołnierza w tej najkrwawszej z polskich bitew XVII wieku, która była bitwą bratobójczą. U jednej strony Lubomirski, z drugiej Jan Sobieski dowodził przy królu...
W imię jakich racji? Wyużył je w swoim piśmie pan Lubomirski, że najwzniejszy jest stan szlachecki, „ramię i pierś rzplitej, daje królom koronę z pośrodku swojego przysposobienia im Radę a jako wolnymi głosi pana o-beria, tak wolnym głosem na wszyscy przy- zwała i mimo głos jego wolny nie stanowią- no być nie może...”
W smutny wieczór 8 sierpnia roku 1666 Lubomirski upadł wreszcie u nog królewskich, prosząc o wybaczenie. Było to w Jarosynie, smętnie potyskiwała dołem Wisła, gdy pyszny magnat ukląkł. Król dał mu rękę do ucałowania. Król płakał. Oto legły w gruzach już ostatecznie plany reformy — ugodą obalata plany elekcji vivente rege i reformy sejmu.

Polska będzie przez wiek jeszcze stała nierządem, który ją doprowadzi do upadku ostatecznego.
Brać szlachecka gardłowała, że napis ICR na tymach oznacza nie co innego, jak „initium calamitatis regni” — początek zniszczenia królestwa, ale nie wiedziała, że nie król będzie tego zniszczenia przyczyną. Dzielnie walczono o rodzajnictwo zaszczytów na sejmach, król siedział smutny i w roku 1667 rzekł: „Przykrazość wam się rzady moje i dla mnie są nieznośnymi”. W pałacu kaszimierzowskiem umierała Maria Ludwika, nazywana „matką ry-cerstwa”, przez innych gwiazdcełką wolności szlacheckich. Zycielni powiedali, że inne kró- lowe zbierały w Polsce miliony, ona swoje oddała na wojsko. Ale niezapłaciłi wolali, że chciała samowole królewską na kraj demok- ratyczny narzucić.
Gdy w czas sejmowy wieczorem na zamku zabrział ten polonez podniosty — korowód wiódł już pan Jan Sobieski, marszałek i het- man, ożeniony z dwórką królowej, Marią Ka- zimiera... Dwórki królowej nie były już także jak oświecająco młode, ale pan Sobieski był zakochany jak uczeń... I wcale nie myślał o reformach, bo horyzonty jego młodej żony były nierozległe, nie odziedziczyła myśli poli- tycznej po swojej pani Marii Ludwice...
Kornaty, światła petzające po adamasz- kowych obiciach komnat zamkowych, wiek XVII i ta straszna próba wydobycia z anarchii kraju, który w otchłań pchnia- łupia i dumna bród szlachecka, gmin rozpa- sany wolałający wolności tylko, przeważnie wszelkiej władzy... I para królewska tragicz- na w swoich poczynaniach, która nawet na pamięć, wdzięczność nie zastąpiła u potom- nych.
I tylko ocalał wspaniały koronacyjny polo- nez. Odżywa co roku w Boże Narodzenie cu- downej moay tonami w pieśni przy choince I spiewają Polacy o tym, że „Bóg się rodzi, moc truchleje...” Franciszek Karpiński dopisał sto- wa do poloneza, i tak przetrwał, koleđa.
A gdy będziecie słuchać słów poety, że ogień krzepnie a blask ciemnieje — przy- pomnijcie sobie ten wiek XVII, wiek anarchicz- ny, z którego Rzeczpospolita szlachecka się już nie wydobyla.
Pomyślcie nad tiziejami, co się dzieją, a nie- powtarzają na szczęście.



Mleczko!



POLOWANIE Z ZASADAMI

Zawsze spokojny i opa- nowany — jak to sugero- wały zachodnie czasopisma malujące (na zdjęciach) syl- wetkę władcy Monako, księcia Rainiera III — rap- tem okazał się człowiekiem nerwowym i zapalczywym. Jak do tego doszło, że nie- mał te same magazyny ilu- strowane, tak ubające o dystyngowane publicz- ności monarchy, nagłe zmieniły front? Przyczyna wyda- wała się prozaiczna: książę pobli fotoreportera usłu- jącego zrobić zdjęcie w chwili, gdy Jego Wysokość wybierał się na polowanie w lasach swego prywatne- go majątku wokół zamku Chateau de Marchais, 80 km od Paryża. Skąd ten gwałtowny wybuch u do- stojnej osoby? Czyżby stan- nerwów księcia pogorszył się do tego stopnia po roz- wodzie córki Karoliny, że monarcha wietrzy w każ- dym reporterze łowcę sen- sacji pogłębiającego „skan- dal” w rodzinie Grimal- dich? Nic z tych rzeczy. Sprawa się wyjaśniła, gdy — mimo pobicia jednego fotoreportera — drugi zda- ny sfotografować całą scenę i zamieścić ilustrację w tygodniku z podpisem: „Książę poluje coraz czę- ściej!” Pikanteria tego pod- pisu jest bowiem od dawna głośno publicznie z wiel- kim szumem propagando- wym „bezkompromisowe zaangażowanie” Rainiera w akcję Ochrony Przyrody i Środowiska, poparte o- strymi atakami na „krwa- we” zabawy śmietanki to- warzyskiej biorącej udział w polowaniach na jaka- kolwiek zwierzęce.
No i stąd polowanie na fotoreporterów. Trzeba przecież bronić głośzonych zasad!

NIEDYSKREJCJE

- CYTATY**
- „Rzeczoznawcy ustalili, że lód jest po prostu zmrozo- nym płynem.” (Dally Mirror)
 - „Przy pomocy roweru pozabawi ją dzieciactwa.” (L'Express)
 - „Jasnovidz nie przewidział własnego bankruc- twa spowodowanego brakiem klientów.” (SUN)
 - „Polecami stiplki prowokujące erotyczne podniety!” (Blick)
 - „W wyniku działalności komendanta straży ogniowej, pożary przeniosły się do sąsiedniej gminy.” (Weser-Kurier)
 - „Dziewczęta te zostały wykorzystane dla celów pro- dukcyj dziecięcej.” (La Stampa)
 - „Minister obnażył się całkowicie przed prasą.” (Paese Sera)
 - „Policjanci, po gruntownym przebadaniu podejrzanej, stwierdzili, że nie była ona dziewczęciem.” (Journal de Geneve)



OBYCZAJE

61-letni premier Kanady, Pierre Trudeau — odby- wając ostatnio podróż dyplomatyczną na Bliski Wschód — został specjalnie uhonorowany przez ministra ds energii w Arabii Saudyjskiej, Achmeda Sakf el-Jamani. Na zor- ganizowanym ku czci gościa wieczorze towarzyskim, minister zaprosił kanadyjskiego premiera do rytualnego tańca w tradycyjnych strojach arabskich. Osobliwieścią tańca, amatorskiego (dla Trudeau) występu choreograficz- nego, był ministerialnopremiowski pojedynek na kije — jako oznaka przyjaźni.
Zapewne, zgodnie ze starym porzekadłem orientalnym: kto się lubi, ten się czubi. Przy barłycie ropy,

TRÓJKĄT (FILMOWY) W RODZINIE

Dość niezwykle toczyły się sceny filmowej ekranizacji dramatu szwedzkiego autora Wedekinda „Lulu” — w których to scenach, na ogół frywolnych ero- tycznie, główna rolę zagra- ła 16-letnia Anne Benneat, zaś jej „łóżkowego” partne- ra sam... ojciec młodzień- ckiej gwiazdki. Rzecz jasna, sceny miłosne odgrzywane przez parę aktorską — sto- sunie do zaleceń scenar- riuza — odbywały się w strojach Adama i Ewy. „Niektórzy mnie to naweił śmiejszy” — wyznała w prasie szesnastolatka — bo w końcu dosyć komiczne jest takie zbliżenie ze swoim ojcem, jako mę- czyzna. „Mniej zrozumie- nia dla komizmu sytu- acji wykazała jednak matka przydadki...
Anne, która przypadkowo oduwiedziła męża i córke podczas krecenia akurat tych partii filmu w atelier. Zauważ te dziwne przydadki...